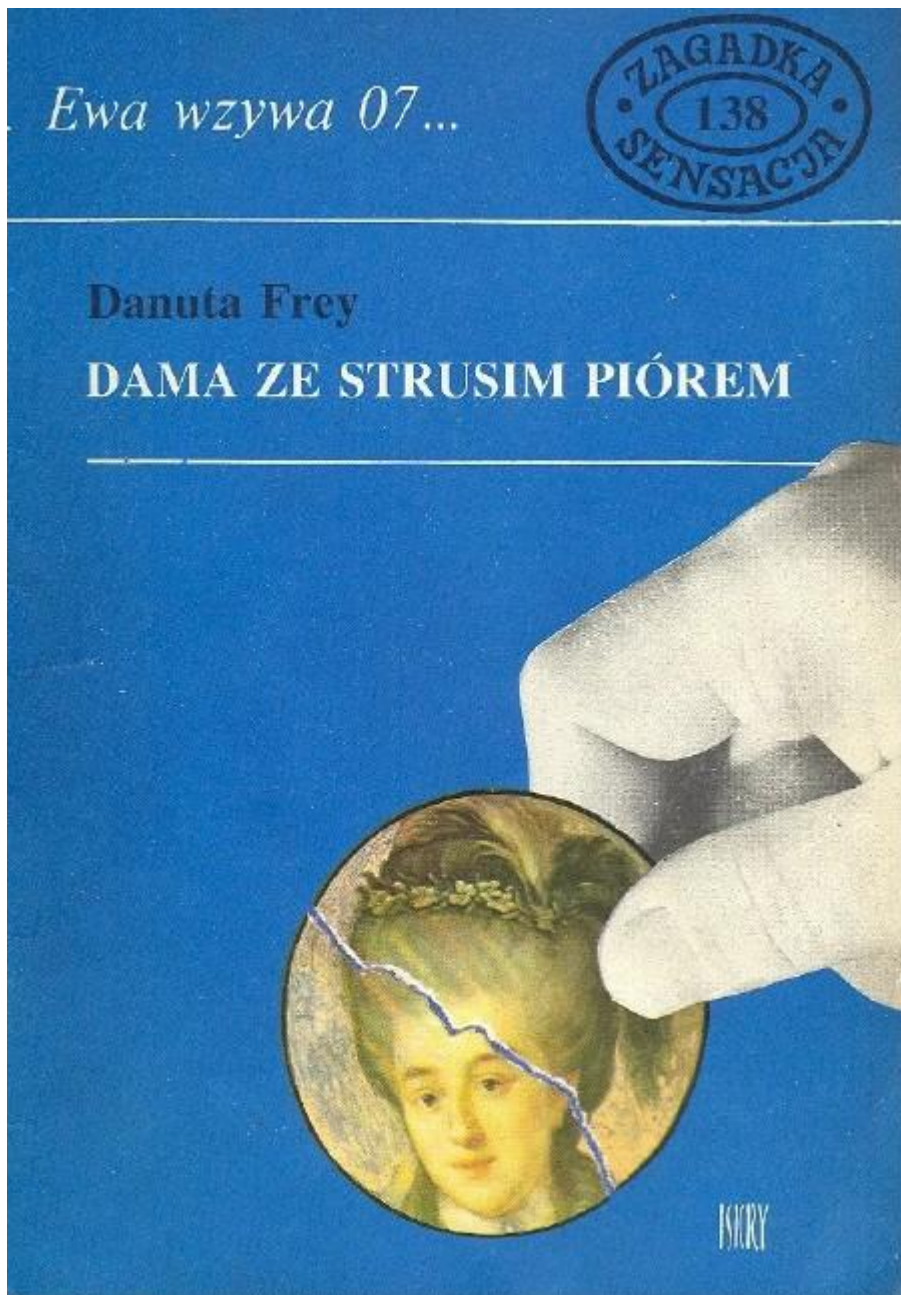


*Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...*

# Danuta Frey

## Dama ze strusim piórem

---



# CZEŚĆ I

## 1

---

Mikołaj zobaczył ją pierwszy. Szła przez podwórko, ubrana w mocno dopasowaną połyskliwą sukienkę koloru lila. Na nogach miała buty na wysokim obcasie, na blond włosach toczek.

Zanim zdążyłam ją dokładniej obejrzeć, zniknęła w oficynie. Za chwilę usłyszeliśmy dzwonek.

— Pali się, czy co? — mruknął Mikołaj, człapiąc ku drzwiom na swojej protezie. Nieznajomym przedstawiał się jako inwalida wojenny. W rzeczywistości stracił nogę w wypadku.

Usłyszałam cienki, wysoki głos:

— Czy tutaj mieści się Zespół Porad Społeczno-Prawnych?

Weszła do pokoju, rozglądając się ciekawie. Zespół mieścił się w dawnym prywatnym mieszkaniu, którego właściciele wyjechali za granicę. Z nadzieją, że tam zostaną już na stałe, wynieśliśmy meble na strych i do piwnicy. W ich miejsce ustawiliśmy trzy biurka: moje jako kierowniczkę zespołu. Mikołaja, któremu powierzyłam sprawy, rzecz można, organizacyjno-finansowe oraz Łukasza Chmielewskiego, naszego radcy prawnego. Z boku stał regał, wypełniony skoroszytami oraz dostojnymi dziełami prawniczymi dobranymi w myśl zasady, że im tom grubszy, tym większy wzbudzi respekt klientów.

Obok, w dawnej jadalni, ulokowaliśmy maszynistkę. Jeżeli mam być już do końca szczerą, wypadła dodać, że zespół nie był specjalnie oblegany przez klientów i gdyby nie prowadzona równolegle działalność usługowa — pisanie podań — przypuszczalnie dawno byśmy splajtowali.

Na razie jednak mieliśmy zajęcie. Przed moim biurkiem stał fotel z wysokim oparciem. Jego czarne, plastikowe pokrycie pamiętało jeszcze początki zespołu. Tu właśnie usadowiłam nowo przybyłą. Jednocześnie skinęłam dyskretnie na Mikołaja, żeby wypisał kwit i zainkasował pieniądze. od czasu, kiedy paru klientom udało się nas nabrać na poradę bez opłaty, wyznaję żelazną zasadę, że nic za darmo.

— Poproszę dowód osobisty — rzekłam. — Musimy rejestrować każdą poradę.

Sięgnęła do torebki, równie drogiej i w równie złym guście jak wszystko, co miała na sobie. Podała mi dowód ze zdjęciem, na którym przypominała swoją młodszą siostrę.

Na imię miała Lidia. Nazwisko nosiła bardziej banalne: Fabisiak. Kiedy Mikołaj uporał się wreszcie ze stroną finansową, rzekłam zachęcająco:

— Słucham...

— Chodzi o mojego męża — powiedziała, jednakże obiecujący początek pozostał na razie bez dalszego ciągu. Komuś, kto stał w tej chwili za drzwiami, nie odejmując palca od dzwonka, nasz zespół pomylił się najwidoczniej z Instytutem Głuchoniemych.

— Najmocniej przepraszam — rzekłam, przyoblekając twarz w standardowy uśmiech, którego nauczyłam się na użytek klientów od kapitalistycznych ekspedientek. Kipiąc wewnątrz z wściekłości wybiegłam do przedpokoju, który służył jako poczekalnia dla klientów i zawołałam w kierunku drzwi:

— Kto tam?

— To ja, Ewa! Otwórz wreszcie tę swoją fortecę!

Kiedy mnie wyrzucano z redakcji w okresie weryfikacji dziennikarzy, nie pozostawało mi nic innego, jak wymyślić zespół.

Ewie Hanke udało się zostać w zawodzie i nadal brylowała w żurnalistycznym światku. Mimo to nie czułam do niej niechęci jak do wielu innych.

— Hej! — zawołała na powitanie. Z ciemnymi, artystycznie rozczochranymi włosami, w niezgrabnej workowatej sukience o nieokreślonym burobrązowym kolorze, przypominała podstarzałą hipiskę. Bezceremonialnie wepchnęła się do środka, cmokając mnie w policzek. Na szczęście nigdy się nie malowała, toteż nie musiałam się martwić, że mi zostawi tłuste ślady szminki.

Syknęłam, żeby przynajmniej była cicho. Zniżając głos do szeptu, zapytała konspiracyjnie:

— Klient?

Mimo że z wykształcenia była historykiem sztuki, w redakcji parała się różnymi kryminałkami i podrzucałam jej czasem ciekawsze przypadki, trafiające do zespołu. Myślę jednak, że prawdopodobnie bardziej chodziło jej zwykle o obyczajową otoczkę niż o treść

— Klientka — ucięłam krótko, bez zagłębiania się w szczegóły.

— No to biegnij! — zezwoliła, chwytając mnie w tej samej chwili za rękę. — Słuchaj, może masz gdzieś trochę kawy? — ziewnęła rozdzierająco. — Jestem piekielnie niewyspana! Łyczek kawy od razu postawiłby mnie na nogi.

Skinęłam potakująco głową i pchnęłam drzwi do kuchni, odziedziczonej przez nas wraz z całym lokalem.

Puszka, w której trzymaliśmy kawę. wspomnienie po jakiejś dobroczynnej paczce z zagranic)', stała na półce nad kuchenką.

— Musisz się sama obsłużyć. Chyba że chcesz Mikołaja do pomocy...

— Och nie, lepiej już nie! — wzdrygnęła się z udanym przerażeniem. Opadła na kuchenne krzesło, wyjęła paczkę jugosłowiańskich papierosów. Zaciągnęła się chciwie, pospiesznie, jak zwykle nerwowo. — Zaczekaj jeszcze moment! — zatrzymała mnie. — Coś ci pokażę.

Zawsze nosiła dużą skórzaną torbę na pasku, której rozmiary sugerowały, że mogła tam zmieścić pół sklepu. Tym razem jednak nic szukała długo. Jej palce bezbłędnie wyłuskały z głębin torby coś małego, co mieściło się na dłoni.

Odwinęła bibułkę i podała mi ów przedmiot ostrożnie, niczym lokaj wnoszący herbatę w chińskiej porcelanie. Jej ciemne, duże oczy błyszczały podnieceniem.

Miałam przed sobą najprawdziwszą francuską miniaturę z XVIII wieku. Namalowana delikatnymi, pastelowymi kreskami na owalu z kości słoniowej, przedstawiała młodą kobietę. Na twarzy okolonej rudymi lokami, malował się wyraz zadumy. Ubrana w suknię o bufiastych rękawach i dużym kołnierzu, nosiła fantazyjny niebieski kapelusz, z którego spadało puszyste strusie pióro.

Uznając, że się już napatrzyłam. Ewa odebrała mi miniaturę i ponownie ukryła ją w czeluściach torby. Nie mogła się jednak powstrzymać od komentarza.

— No i co powiesz? — rzekła. — Robi wrażenie, prawda? Prawdziwe cacko. Pełne autentiko! — dodała z dumą. W jej stylu leżało wtrącanie od czasu do czasu powiedzonek z młodzieżowego slangu.

— Skąd to masz? — zapytałam. — Bo chyba nie z „Desy”?

Ani przez chwilę nie wierzyłam, żeby Ewę było stać na tego rodzaju zakup. W końcu znałam co nieco jej życiowy standard.

— Tajemnica — odparła.

Może i nawet wyciągnęłabym z niej więcej, gdyby nie stukot protezy Mikołaja, który zabrzmiał niespodziewanie tuż przy drzwiach kuchni. Domyśliłam się, że podsłuchiwał. Dyskrecja nigdy nie była jego cnotą.

Nawet nie raczył zapukać. Bezceremonialnie wsunął głowę do kuchni. Na jego długiej, chudej twarzy malował się wyraz zafrasowania, lecz w oczach widniała nieskrywana ciekawość. Gestem przyzywał mnie z powrotem.

Z westchnieniem na myśl o stosie brudnych naczyń, które będą mnie oczekiwać w kuchni po wizycie Ewy, wróciłam do pokoju, do swojej klientki.

— Przepraszam — rzekłam. — Wspomniała pani, zdaje się, o mężu...

— Podejrzewam, że ma kochankę — oznajmiła bez zająknięcia.

Nie była to w końcu żadna rewelacja. Mało to mężczyzn, zwłaszcza po czterdziestce, odkrywa naraz uroki życia z młodszą partnerką?

— Chodzi o to, żeby mu to udowodnić.

— O! — przechyliłam się przez biurko. trochę zaciekawiona, bardziej rozbawiona. — I właśnie my mielibyśmy to zrobić? Czy dobrze zrozumiałam?

— Jak najbardziej. Jestem przygotowana na wszelkie koszty...

Nie dojąc mi dojść do słowa, ciągnęła z przekonaniem dalej:

— To niejaka Mariola, striptizerka. Wyjęła z torebki przygotowane widać wcześniej zdjęcie.

Fotka, wykonana zapewne dla celów reklamowych, przedstawiała młodą, czarnowłosą osóbkę o długich włosach i ładnej, choć pospolitej, wymalowanej twarzy. Miała na sobie jedynie błyszczące czarne slipki naszywane cekinami i białe strusie pióra owinięte wokół szyi. Ich końce przykrywały piersi.

„Niezła — pomyślałam. — Zwłaszcza dla starszych panów. Jeżeli ustrzeli jelenio, z pewnością wyciągnie z niego kupę forsy”. Nie wątpiłam, że to potrafi.

Zwróciłam zdjęcie i za chwilę otrzymałam złożony na pół arkusz papieru. Był to pozew o rozwód. Jan Fabisiak występował do Sądu Rejonowego dla miasta stołecznego Warszawy o rozwiązanie związku małżeńskiego, zawartego przezeń z Lidią Fabisiak, bez orzekania o winie. Dzieci nie było.

Założyłabym się o grube pieniądze, że w uzasadnieniu, zajmującym bite trzy strony maszynopisu, zostały wyliczone wszystkie prawdziwe i domniemane wady mojej klientki, które w sposób absolutny wykluczały dalsze wspólne pożycie. Tylko, u licha, po cóż ona przyszła z tym akurat do zespołu zamiast do jakiegoś zręcznego adwokata, który w sposób przekonywający uzasadniłby sądowi bezpodstawność żądania rozwodu?

Myliłam się. U adwokata już była.

— ... no i mecenas powiedział, że jeśli nie będzie wiarygodnych dowodów, że mąż mnie zdradza, to...

Za chwilę znałam już wszystkie szczegóły.

— Mój mąż jest jubilerem-złotnikiem, podobno jednym z najlepszych w Warszawie. Na moje ostatnie imieniny kupił mi fiata uno za dolary. Pojechaliśmy też w zimie na wczasy do „Kasprowego”, a w czerwcu wróciliśmy z Jugosławii...

Jeśli nawet w Polsce ostatnich lat tak wiele mówiło się o kryzysie, z całą pewnością nie wszyscy odczuwali go jednakowo. Niektórzy znali go jedynie z gazet.

— Wszystko układało się wspaniale — ciągnęła dalej — do czasu, gdy... — nie chciało jej to jakoś przejść przez gardło — ... gdy w jakiejś knajpie poznał tę Mariolę.

Rzuciłam jeszcze raz okiem na pozew rozwodowy. Określenie: „bez orzekania o winie” było podkreślone grubym, czerwonym flamastrem. Nietrudno przychodziło odgadnąć resztę. Wraz ze striptizerką Mariolą w życie mojej klientki wtargnęło śmiertelne zagrożenie całej owej materialnej otoczki, w jakiej dotąd tkwiła. W wypadku orzeczenia rozwodu, a już zwłaszcza rozwodu bez orzekania o winie bądź z winy obu stron. Lidia Fabisiak nie miała właściwie szans na jakąkolwiek większą finansową rekompensatę w procesie o podział majątku. Jej mąż z pewnością łatwo mógł udowodnić, że zgromadził wszystkie posiadane walory sam i do niego też powinny one należeć.

Dotarła wreszcie do sedna sprawy.

— ... otóż mecenas powiedział, że jeśli by udało się przedstawić sądowi przekonywające dowody, że mój mąż ma kochankę, wówczas mógłby tylko wystąpić o rozwód z własnej winy. A wtedy ja po prostu na rozwód się nie zgodzę, więc i on go nie dostanie.

Odzyskała utraconą na moment pewność siebie. Myśl, że jakaś striptizerka zajmie jej dotychczasowe miejsce u boku bogatego złotnika, musiała być dla niej rzeczywiście nic do zniesienia. Tylko czy o uczucia tu chodziło — czy o pieniądze? Byłam skłonna się założyć, że chyba jednak o to drugie.

— A... o jakiego rodzaju dowody pani chodzi? — zagadnęłam.

Obrzuciła mnie wzrokiem pełnym niekłamane go zdziwienia.

— No... — zawahała się — ... na przykład zdjęcia. W jakiejś czulej pozie. Albo ... — wpadła na inny pomysł — ... może udałoby się znaleźć kogoś, kto zeznałby w sądzie, że widywał ich razem?

Podniosłam się. Strata tak obiecującej klientki wydała mi się wielce niemiła. Nic mogłam jednak uczynić nic innego.

— Przykro mi — rzekłam — ale nasz zespół nie ma uprawnień do podejmowania się tego rodzaju zleceń.

Sprawiała wrażenie jakby się przestyszała.

Zbyt wiele prawdopodobnie naczytała się przedtem powieści o prywatnych detektywach, skoro na jej twarzy odmalowało się niedowierzanie. Wyjęła wypchany portfel.

— Naprawdę mam pieniądze — zapewniła. Wyciągnęła plik banknotów, kiedy nagle z kuchni, w której pozostawiłam Ewę, dobiegł brzęk tłuczonego szkła i głośne przekleństwo. Za chwilę zjawiała się sama Ewa. Z miną skruszonej grzesznicy, przybraną na mój użytek, a z ręką wyciągniętą w kierunku pani Lidki, przedstawiła się:

— Jestem Ewa Hanke. Przepraszam, że ci przeszkadzam — zwróciła się tym razem do mnie — ale widzisz, tak mi przykro! Już wychodziłam, kiedy niespodziewanie zawadziłam torbą. No i poszła twoja ulubiona filiżanka! Postaram ci się odkupić taką samą. Albo jeszcze ładniejszą. Wybacz! — zrobiła zboląłą minę, chociaż podejrzewałam, że w rzeczywistości łże jak najęta.

Szybko domyśliłam się prawdy. Będąc w kuchni Ewa usłyszała prawdopodobnie jakieś fragmenty mojej rozmowy z Lidią Pabisiak. A że była osobą dociekliwą — zapragnęła dowiedzieć się również i reszty. Brakowało tylko pretekstu... Mimo to pospieszyłam z pomocą.

— Pani Hanke jest dziennikarką — zakomunikowałam. — Niekiedy współpracuje z naszym zespołem — skłamałam, rzucając Ewie porozumiewawcze spojrzenie. Ani przez chwilę nie przestawałam myśleć o portfelu pani Lidki rozkosznie wypchanym forszą i o tym, że warto by uczynić go nieco lżejszym. W związku z tym właśnie wpadłam na pewien pomysł, którym postanowiłam się głośno podzielić.

— A może — zwróciłam się do naszej klientki — dałoby się załatwić pani sprawę w inny sposób?

Następnie wyjaśniłam, jak sobie to wyobrażam. Nikt nie protestował. Każda z nas trzech obliczała własne korzyści. Zespołowi bardzo przydadzą się dodatkowe wpływy, pani Lidka będzie mogła być może zdobyć wreszcie dla sądu przekonujące dowody zdrady, a Ewie kroił się nowy obyczajowy reportaż. Z łatwością zatem zgodziła się zabawić w detektywa.

## 2

---

Bramkarz obrzucił nas taksującym spojrzeniem, które Łukasz Chmielewski ocenił na pięćsetkę i taki też banknot przyłożył do szyby. Bramkarz odwrócił się wzgardliwie, udając, że nas nie ma.

Staliśmy przed zamkniętą „Kongresową”, w gęstym, rześistym deszczu, który zmieniał mnie z pięknie u fryzowanej damy w zmokłą kurę. Dzisiejszego wieczora rozpoczynała tutaj występy striptizerka Mariola i Ewa zaproponowała, by wybrać się na striptiz w towarzystwie Łukasza, którego znała z bytności w zespole.

W skrytości ducha podejrzewałam, że Łukasz sam jej podsunął taką myśl, a Ewa ochoczo ją podchwyciła. Co prawda nie gustowałam w podstarzałych, żonatych mężczyznach, pozujących na Leoncia z telewizyjnej Isaury, ale większość kobiet chyba nie podzielała mojej opinii. Ewa prawdopodobnie również.

Łukasz zdjął z szyby pięćsetkę, zastępując ją „Kopernikiem”. Portier zsunął czapkę z głowy, uchylił drzwi, wprawnym, wyćwiczonym ruchem chwycił banknot i wpuścił nas do środka.

Nad salą wisiał siny dym z papierosów, tworzący długie smugi w świetle reflektorów. Wnętrze wypełniał pijacki bełkot rozmów, odór spoconych ciał i ogłuszający hałas orkiestry. Na ciemnym, ciasnym parkiecie przewalało się i drgało mrowie ciał, wyglądające jak jedna wielka falująca masa.

Łukasz poprosił Ewę do tańca. Kiedy wrócili, ruchliwy konferansjer, który się nagle ukazał na podium, zapowiedział, że oczekiwany striptiz odbędzie się w pół do pierwszej.

Spojrzałam na zegarek. Dochodziło w pół do dwunastej. W tym momencie Ewa sięgnęła po torebkę. Wyjęła puderniczkę, przejrzała się w lusterku i wykrzyknęła z udanym przestraczem:

— Ależ jestem rozczochrana! Wszystko przez ten deszcz! Przepraszam na chwilę, muszę się uczesać.

Refleks nie jest niestety moją najmocniejszą stroną, więc zanim się na dobre zorientowałam, już brnęła przez zatłoczoną salę w kierunku wyjścia.

Cała ta scena wydała mi się jakaś sztuczna. Ale Ewa kochała się w pretekstach, więc i fryzura to pretekst. Dokąd jednak spieszyła się naprawdę?

Łukasz poprosił mnie do tańca. Wyglądało to prawie jak zmowa, ale nie bardzo wypadało odmówić. Ze sztucznym uśmiechem, przyklejonym do twarzy, przetańczyłam wszystkie trzy kawałki pod rząd, rozmawiając z Łukaszem o wszystkim i o niczym.

Miałam wrażenie, że taniec trwał wiecznie, tymczasem po powrocie do stolika odkryłam, że przeszło ledwie kilkanaście minut, i że Ewa jeszcze nie wróciła. Postanowiłam jej poszukać.

W ubikacji siedziała tylko babka klozetowa. Zagłębiłam się w korytarz. Zakręca! on lukiem i biegł prawdopodobnie wokół podium dla orkiestry, ponieważ słycać ją stąd było wyjątkowo głośno.

Naraz ktoś otworzył drzwi w głębi i usłyszałam niedwuznaczną zapowiedź:

— Nie chcę tu pani więcej widzieć! Zamarłam w bezruchu, żałując, że nie mogę stąd ujrzeć jej autora. Usłyszałam jednak na odmianę kobiecy śmiech, który sprawił, że mimo gorąca poczułam nagły dreszcz, lak histerycznie i prowokacyjnie mogła się śmiać tylko Ewa.

Zanim zdobyłam się na jakąś reakcję, rozległy się odgłosy szamotaniny. Trzask wyważanych drzwi zlał się w jedno z przeraźliwym łoskotem, który trwał jeszcze ułamek sekundy zanim zupełnie zamilkł.

W tej samej chwili przestała grać orkiestra. Zapadła cisza, w której nieomal słyszałam bicie własnego serca.

Może rzeczywiście trochę późno, ale jednak rzuciłam się bohatersko naprzód.

Oparte o jedną ze ścian, stały tu jakieś stare dekoracje, z których zwisały resztki karbowanej bibułki i zakurzone, ponadrywane płaty staniolu.

Właściwie nie było to ściśle. Stała bowiem jedynie część dekoracji. Reszta zwała się na podłogę, tworząc malownicze ruiny.

Ewa leżała pod połamanym kawałkiem dykty. Z nosa ciekła jej krew, wyglądała okropnie. Jednakże kiedy się nad nią pochyliłam, zamrugła oczami i poruszyła się.

— Ewa. co się stało? Kto cię tak urządził?

— Drobną scysją z panem Fabisiakiem w garderobie nieobecnej striptizerki — odparła, siląc się na żartobliwy ton. — Chciałam poczekać razem z nim na piękną Mariolę, ale wolał zostać sam...

Odsuwając szczątki dykty, zaczęła się gramolić z podłogi.

— Nie wygłupiaj się! O co właściwie poszło?

— Nie lubi ludzi, którzy wtykają nos w nie swoje sprawy.

Spojrzałam na nią z wyrzutem.

— Przecież cię uprzedzałam: tylko dyskretnie! A ty od razu...

Mogłabym jeszcze długo mówić? n» ten lemat, lecz mi przerwała.

— Gdzie moja torba?

Wisiała nie opodal, zaczepiona o ostrą drzazgę chropowatej deski, z której wystawał duży gwóźdź. Zamek się otworzył i część zawartości torby wysypała się na podłogę.

Pierwszym przedmiotem, który zauważyłam, była znana mi już miniatura damy ze strusim piórem. Pozbierałam wszystko, co dało się zebrać i dałam Ewie własną chusteczkę do nosa, żeby mogła sobie zetrzeć krew z twarzy, choć nie powiem, żebym miała na to wielką ochotę. Lubię ładne drobiazgi, to moja skrywana słabość, do której mało komu się przyznaję. Wszystkie moje chusteczki zrobione są z cienkiego batystu, obszyte koronką i opatrzone monogramem, wyhaftowanym własnoręcznie przeze mnie. Mimo to postanowiłam się poświęcić.

— Zatrzymaj ją — zaproponowałam. — A nuż ci jeszcze znowu pójdzie krew z nosa? — I sama we-  
tknęłam jej chusteczkę do torebki. Wtedy przypomniałam sobie o miniaturze.

— Ewa, powiedz — spytałam — po diabła nosisz to drogocenne cacko w torebce? Nic boisz się, że cię ktoś okradnie?

Ewa odgarnęła ręką włosy z czoła, co wzbudziło we mnie podejrzenie, że chce zyskać na czasie.

— Nie mam innego wyjścia — odparła po chwili.

Nie zrozumiałam.

— Dlaczego?

— Ze względu na Filipa — odrzekła. — Po prostu nie chcę, żeby Filip o tym wiedział.

Filip był mężem Ewy i od pewnego czasu żyli ze sobą jak pies z kotem.

— Ma obrzydliwy zwyczaj myszkowania po kątach — dodała. — Może szuka listów od moich domniemanych kochanków? — niby ironizowała, lecz wychodziło to jakoś mizernie. No i nadal, choć trochę znałam meandry ich małżeńskiego pożycia, nic było dla mnie do końca jasne, dlaczego robiła z tego cacka aż taką tajemnicę.

— Ewka! — pogroziłam jej palcem. — Mam nadzieję, że nie uwikłałaś się w jakieś podejrzone interesy z ciemnymi typami?

Nie dane mi było doczekać się odpowiedzi. Korytarzem nadciągali ludzie. Słychać było kroki i gwar głosów. Jeszcze chwila, a na widok ruiny dekoracji podniesie się tu nie lada larum.



Pociągnęłam Ewę za rękę i tak dotarliśmy do tej samej damskiej toalety, którą niedawno opuściłam.

Podczas gdy Ewa dokonywała ablucji przed lustrem, ja zastanawiałam się, jak spławić na jakiś czas Łukasza i zostać sam na sam z Ewą.

Ta jakby odgadła moje rozterki. Niespodziewanie obróciła ku mnie namydloną twarz i oznajmiła:

— Słuchaj, jeżeli masz coś do pisania, zanotuj: Izabelin, Dębowa 3. Albo zapamiętaj !

— Co to za adres?

Odwróciła się znów do lustra, splukując mydło.

— Nie bądź taka ciekawa! Przyjdzie czas, sama ci powiem.

Nie chciała zdradzić nic więcej. Wzruszyłam ramionami, Cała Ewa! Kochała się w atmosferze sensacji — nawet jeżeli później okazywało się, że sprawa nie jest warta już nie tylko porządnego reportażu, lecz nawet krótkiej informacji. Zawsze podchodziła do wszystkiego zbyt impulsywnie, ze zbyt małą dozą rozsądku.

Wróciwszy na salę ujrzałam Łukasza, który tkwił nieporuszenie przy stoliku, jak rafa wśród falującego morza głów. Orkiestra zagrała tusz. światła przygasły i w jednej tylko, jasnej plamie reflektora ukazała się striptizerka Mariola.

Gdyby nie znane mi ze zdjęcia długie, strusie pióra, które ją spowijały, z trudem bym ją poznała. Miała na sobie spódnicę do ziemi i bluzkę zapiętą skromnie pod szyję. Orkiestra to wzmacniała, to wyciszała towarzyszącą melodię. Mariola okręciła się jeszcze kilka razy, wygięła w biodrach i zaczęła striptiz.

Stopniowo pozbywała się kolejnych części garderoby. Jakiś mężczyzna głośno sapał, inny mlaskał z podziwem. Rozległo się parę wstydliwych pisków kobiet i jakieś nieartykułowane okrzyki, chyba uznania. Obojętna na reakcję otoczeniu striptizerka okręciła się wokół własnej osi i zdjęła stanik. Teraz miała już na sobie jedynie wążutkie slipki i długiego węża z białych piór. falującego z każdym ruchem.

Wreszcie opadło wszystko, także i pióra. Goła jak ją Pan Bóg stworzył, striptizerka Mariola zastygła na dobrych parę sekund w wystudiowanej pozie.

Po tym kulminacyjnym momencie orkiestra nagle umilkła. Zgasły światła i na sali zapanowała całkowita ciemność. Trwało to dłuższą chwilę, a kiedy znów zrobiło się jasno, na parkiecie leżały już tylko strusie pióra, Striptizerka zniknęła. Zniknęła jednak również i Ewa.

Nie mam pojęcia, kiedy udało się jej wyjść niepostrzeżenie, a przede wszystkim — dokąd ją znów pognało. Rzuciłam szybkie spojrzenie Łukaszowi.

— Łukasz! Nie wiesz czasem, gdzie jest Ewa?

— Owszem, wiem — odparł i wskazał ręką na parkiet, nad którym właśnie zabłysły wszystkie światła. Striptizerka Mariola w sukience, w której mogłaby pretendować do tytułu „Miss Przyzwoitości”, zbierała zasłużone oklaski. Musiałam przyznać, że rzeczywiście była niezła.

Kiedy już szykowałam się do odwrotu, ujrzałam Ewę stojącą z tyłu tuż obok podium dla orkiestry. Nie-trudno było zgadnąć, jak się tam dostała. Najprawdopodobniej użyła swojej dziennikarskiej legitymacji, która otwierała jej różne drzwi.

Syta oklasków, striptizerka opuściła nareszcie parkiet. Ewa puściła się za nią. Nie wiem, jakich użyła argumentów — dość, że Mariola zatrzymała się. Po krótkiej wymianie zdań striptizerka zniknęła, natomiast

Ewa wróciła do stolika z triumfującym wyrazem twarzy. Nalała sobie kieliszek wódki, wypła i powiedziała z przechwałką w głosie:

— Umówiłam się jutro na wywiad z Mariolą. Temat: „Kulisy życia królowej striptizu”. — Mrugnęła do mnie porozumiewawczo. Miało to oznaczać, że obie dobrze wiemy, o co chodzi naprawdę.

— Nie! — zaprotestowałam gwałtownie. — Nigdzie nie pójdziesz! Słyszysz, na żaden wywiad!

Poczułam wściekłość na siebie, że ją w ogóle w cokolwiek wtajemniczałam. W poszukiwaniu sensacyjnego tematu gotowa była wieże gdzie jej nie proszono, a ja nie miałam zamiaru przykładać do tego ręki.

Roześmiała mi się w twarz i nalała sobie drugi kieliszek. Nalała również Łukaszowi i trąciła się z nim prowokacyjnie.

— No co, Łukasz, pijemy za mój znakomity wywiad z królową stołecznego striptizu, miss Mariolą!

Czułam, że robi to celowo, dla zademonstrowania, że moje słowa spływają po niej jak woda po gęsi. Łukasz jeszcze dolewał oliwy do ognia, podbechtując ją przeciw mnie.

Z minuty na minutę stawałam się coraz bardziej rozdrażniona. Mimo że mi celowo dokuczali i dogryzali, robiąc ze mnie despotyczną jędzę, starałam się początkowo hamować. Atmosfera stawała się jednak coraz bardziej przykra i napięta. Kiedy Ewa ni stąd ni zowąd zaczęła opowiadać Łukaszowi, jak to było ze mną na komisji weryfikacyjnej dla dziennikarzy i dlaczego musiałam opuścić redakcję, nie wytrzymałam. Dotknęła mojego najboleśniejszego miejsca — wspomnień, które mimo upływu lat tkwiły we mnie nadal jak drzazga. Nie o to byłam jednak najbardziej zła: miałam żal, że robiła to wiedząc, że sprawi mi głęboką przykrość.

„Pal licha — pomyślałam — niech się dzieje, co chce. Nie będę jej powstrzymywać. W końcu nie jest dzieckiem. Ma trzydzieści dwa lata i wie, co robi. Jeżeli okaże się nieodpowiedzialna, sama za to zapłaci.”

Wygarnęłam obojgu, co o nich myślę. Wyraźnie ich zmroziło. Przeszali dowcipkować. Zapadło ciężkie, nieprzyjemne milczenie. Teraz i ja nalałam sobie wódki, wypłałam i głośno postawiłam kieliszek na stole. Orkiestra znów wyszła na podium.

— Tym razem przeholowałaś — rzekł Łukasz, cedząc słowa. — Wszystko ma swoje granice, ale tobie się wydaje, że jesteś najmądrzejsza. Tymczasem jedno, co naprawdę potrafisz, to zrażać sobie ludzi.

Tego już było za wiele. Wstałam demonstracyjnie od stolika, rzuciłam na stół dwa tysiące i tłumiąc wzbierającą znów złość powiedziałam:

— To na pokrycie mojego rachunku. Jeżeli trzeba będzie więcej, rozliczymy się później.

Miało to zabrzmieć lodowato, ale wypadło żałośnie. Powinnam czuć gniew, lecz czułam jedynie smutek i gorycz zawodu.

— Do widzenia, bawcie się dobrze! Wyszłam na dwór, chłodząc w deszczu twarz, rozpaloną emocją, alkoholem i gorącem. Pochłonał mnie problem, jak o tej porze zdobyć taksówkę.

Po nocy spędzonej z piątku na sobotę w „Kongresowej” zrobiłam wszystko, żeby ją jak najszybciej wymazać z pamięci. A mimo to, skoro tylko przekroczyłam w poniedziałek próg zespołu, rzeczywistość opadła mnie natychmiast w osobie Mieczysława Charamu-szki.

Był to nienagannie ubrany, elegancki dżentelmen w średnim wieku, któremu brakowało jedynie laseczki i melonika. Miał za to okulary w cienkiej, złotej oprawie, udające binokle oraz cienkie, krótko przystrzyżony wąsik nad górną wargą. Jednym słowem wyglądał tak, jak gdyby dopiero co opuścił jedną z kart zurnala mody męskiej.

Mikołaj, który' od poniedziałku odgrywał rolę praeusia i zjawił się w zespole na długo przede mną, wziął Charamuszkę za klienta i usadowił w „poczekalni”. Jednakże, kiedy po pewnym czasie wyjrzał na korytarz, leżało tam tylko kilka czasopism, zrzuconych ze stolika na podłogę. Kiedy, gderając, kładł je na dawnym miejscu, rozległ się dzwonek. Mikołaj otworzył i ze zdziwieniem ujrzał ponownie Charamuszkę. Zanim zdążył się odezwać, Charamuszko sam poczuł się w obowiązku wytłumaczyć.

— Musiałem na moment wyjść, zatelefonować w pilnej sprawie — usprawiedliwił się, nie zdając sobie sprawy, że mówi już nie tylko do Mikołaja, lecz również do mnie.

— Dzień dobry — przywitałam się, celowo głośniejszym niż zwykle. — Pan do zespołu?

Mikołaj przysłuchiwał się z nie tajoną ciekawością.

— Tak, to znaczy... niezupełnie — wyjął z kieszeni jakiś zapisany karteluszek i podniósł go do oczu. — Czy mam przyjemność z panią Godlewską?

Potwierdziłam.

— Pani pozwoli — rzekł ceremonialnie. — Mieczysław- Charamuszko — podał mi wizytówkę"

Zaprosiłam go do pokoju i obejrzałam dokładniej wizytówkę, na której figurował jako szef jakiejś firmy, której nazwa została wypisana po polsku i angielsku. Ale jego nazwisko nic mi nie mówiło.

Oznajmiłam mu to wprost. Podniósł brwi, co w świecie dżentelmenów, z jakiego zapewne się tu zjawiał, miało oddawać dyskretne zdziwienie.

— Ewa nic pani nie mówiła?

Był niewątpliwie doskonale wychowany, czego bym nie powiedziała o Ewie,

—A można wiedzieć, o czym? — zapytałam, siląc się na możliwie najuprzejmniejszy ton.

Obrzucił mnie spojrzeniem badając, czy jestem godna zaufania.

— Dostałem pani adres od Ewy. Prosiła, żebym tu przyszedł dziś, o dziesiątej. Ona też miała się zjawić i przynieść miniaturę.

Zamurowało mnie.

— Miniaturę? — zapytałam. — Czy chodzi może o francuską XVIII-wieczną miniaturę, przedstawiającą damę w kapeluszu ze strusim piórem?

Rozpromienił się.

— Właśnie! — nie darował sobie chwili maleńkiego triumfu. — Więc jednak zna pani sprawę!

— Widziałam u niej coś takiego. Ostatni raz bodaj w piątek. W piątek wieczorem.

Jeśli się spodziewałam, że go wyprowadzę z równowagi, czekało mnie rozczarowanie. Wcale nic był zbulwersowany.

— To zrozumiałe — rzekł z kamienną twarzą. — Bo właśnie w piątek obiecała mi ją dostarczyć. Razem z ekspertyzą, na wynik której dość długo czekała — wyjął z kieszeni śnieżnobiałą chusteczkę z granatowymi paskami po bokach, zdjął binokle, przetaił je metodycznie i znów założył na nos. — Umówiliśmy się na piątek wieczór, jednakże rano dostałem od Ewy telefon, że może nie zdążyć. Prosiła, żeby czekać na wiadomość od niej. Zadzwoiła po raz drugi o wpół do dwunastej w nocy, odkładając nasze spotkanie na poniedziałek rano — właśnie tutaj.

Teraz już znałam powód, dla którego Ewa tak raptownie poderwała się wówczas od stolika w „Kongresowej”. Musiała sobie przypomnieć o obiecanej wiadomości dla Charamuszki i poszła mu ją przekazać telefonicznie. Ale może byli inni reflektanci na miniaturę? Przypomniałam sobie scysję z Pabisiakiem za kulisami restauracji. Fabisiak? Kto wie? Kto wie także, czy Ewa nie wpadła na pomysł posłużenia się miniaturą w charakterze swoistej przynęty — klucza otwierającego przed nią środowisko nowobogackich? Miała przecież różne ekstrawaganckie pomysły.

— Przypuszczam, że telefonowała do pana z „Kongresowej” — powiedziałam. — Byliśmy tam na dansingu.

— Być może — zgodził się. — Przez telefon wspominała mi tylko o jakimś wywiadzie ze striptizerką i o wyjeździe gdzieś pod Warszawę.

Zrobiłam się czujna.

— Pod Warszawę? — powtórzyłam. — Czy nie mówiła czasem o Izabelinie?

Charamuszko drgnął. Trwało to jednak tylko chwilę i znów patrzyłam w jego układnie ułożoną, nieprzeniklioną twarz człowieka interesu.

— Czy to takie ważne? — zapytał z pobłażliwym uśmiechem.

Rozłożyłam ręce.

— Ach nie! To znaczy — nie wiem. Po prostu Ewa wspomniała mi coś na temat Izabelina. Myślałam więc...

Uśmiech zniknął jak zdmuchnięty lodowatym powiewem.

— Ależ, droga pani — rzekł karcąco — proszę mi tu nie imputować! Nie słyszałem w ogóle o żadnym Izabelinie! Ewa wspominała mi jedynie, że wybiera się gdzieś pod Warszawę. Nie mówiła, dokąd.

— No, ale jak pan widzi, nie ma jej — powiedziałam. — I nic mi nie wiadomo, kiedy przyjdzie i czy w ogóle przyjdzie... Chyba ją pan zna?

Przez twarz Charamuszki przemknął po raz pierwszy cień zwątpienia.

— Moja znajomość z Ewą nie jest specjalnie długa — rzeki z ociąganiem.

— Może jej coś wypadło? Zadzwoń do redakcji — zaofiarowałam się i sięgnęłam po słuchawkę. Charamuszko powstrzymał mnie.

— Już to zrobiłem. Nie ma jej i nic wiesz, kiedy będzie. Telefon w domu nie odpowiada.

— Mam myśl — oznajmiłam. — Zadzwoń do jej męża.

Wyszukałam w kalendarzyku numer telefonu Filipa Hanke, odczekałam i w chwilę później usłyszałam znajomy, niski głos.

— Galeria sztuki.

Filip, z zawodu — jak i Ewa — historyk sztuki, był od kilku lat jakąś ważną figurą w galerii, ale co konkretnie tam robił — nie miałam pojęcia.

— Mówi Aldona. Aldona Godlewska — powiedziałam. — Filipie, czy nie wiesz czasem, gdzie może się teraz podziewać Ewa?

Przez pewien czas w słuchawce panowało milczenie. Nareszcie Filip odezwał się ponownie.

— Nie wiem. Nic ma jej w domu już od piątku.

— Filip! — wykrzyknęłam. — Co ty mówisz?!

— A jednak — odparł sucho. — Powtarzam, że nie widziałem jej od piątku.

— Czy coś zaszło między wami?

— Słuchaj... teraz... nie mogę o tym rozmawiać. Cidzie jesteś? W zespole? To czekaj na mnie, już tam jadę.

Odłożyłam słuchawkę.

— Nie ma jej od trzech dni w domu — powiedziałam wolno.

— A miniatura?! — wykrzyknął Charamuszko.

Gdyby nie moje dobre wychowanie, najchętniej zrzuciłabym go razem z całą jego elegancją ze schodów.

Filip, mąż Ewy, był czterdziestoparoletnim przystojnym mężczyzną z powagą w oczach, które odbijały jego zasadniczy stosunek do życia. Z mocno zarysowanymi szczękami i kwadratowym podbródkiem przypominał podobno kiedyś prezydenta Kennedyego i być może właśnie dlatego Ewa za niego wyszła. Był wprawdzie od niej dużo starszy, jednakże ona zawsze lubiła być oryginalna — nawet jeżeli nie przynosiło to żadnych korzyści. Również i tutaj reguła potwierdziła się. Gdy znikło pierwsze zafascynowanie, ich wzajemne pożycie zaczęło iść jak po grudzie.

Filip zjawił się po kwadransie. Przyjechał własnym samochodem, ubrany w jasny prochowiec. Plamy błota u dołu płaszcza mówiły wiele o stanie psychiki jego właściciela, znanego ze skrupulatności, ba. pedanterii.

Bez pytania zrobiłam mocną kawę. Krzątając się po kuchence usłyszałam kroki Filipa w przedpokoju. Przypuszczalnie wyjmował z płaszcza kolejną paczkę papierosów, ponieważ zastałam pokój pełen dymu, a popielniczkę wypełniały ledwie nadpalone niedopałki.

Odczekałam, aż wypije kawę. Następnie powtórzyłam pytanie, zadane już raz poprzednio przez telefon.

— Filipie, powiedz, bo i ja się niepokoję: czy zaszło coś między wami? Coś, co by w jakiś sposób tłumaczyło zachowanie Ewy i jej zniknięcie?

Skrzywił usta — wąskie, kontrastujące w osobliwy sposób z . kanciastymi rysami.

— Dobrze wiesz, że w takich wypadkach nie ma żadnego tłumaczenia.

— Mogło jej się coś siać — powiedziałam. — O tym nie pomyślałeś?

— Dzwoniłem do pogotowia, do milicji, objechałem szpitale, nawet izbę wytrzeźwień. Gdyby jej się stało coś złego, już bym wiedział. W końcu mija trzeci dzień...

— No tak... — wybąkałam. Sytuacja wydawała się dość klarowna, jednakże nie przychodziły mi jakoś do głowy słowa pocieszenia. „Biedny Filip” — pomyślałam jedynie.

— Może wyjechała niespodziewanie na jakąś redakcyjną delegację?

Potrząsnął przecząco głową.

— Nie. Sprawdzali. Spróbowałam z innej beczki.

— A nic zostawiła czasem żadnej wiadomości? Może coś przegapiłeś?

— Przeszukałem cały dom. Nic, ani słowa. Żadnego wyjaśnienia — uśmiechnął się gorzko. — Czyżbym już nawet na to nie zasługiwał?

To mnie najbardziej zaniepokoiło. Ewa kochała różne melodramatyczne efekty i nie wierzyłam, aby pochopnie z nich zrezygnowała. Nie, pomyślałam, to zupełnie do niej niepodobne- Musiało wobec tego zająć coś między nimi: jakaś awantura, kłótnia, gwałtowna wymiana słów, może nawet rękoczynny — jednym słowem coś, co się wstydliwie ukrywa przed otoczeniem. Albo Filip się myli sugerując, że Ewa odeszła z innym mężczyzną. Któż zresztą miałby nim być?

Zapytałam Filipa, czy żywi jakieś określone podejrzenia. O ile się orientowałam, znajomości Ewy były dość rozległe i raczej nie gardziła męskim towarzystwem.

Do tej pory zachowywał się godnie, ale widać dotknęłam jego najczulszej struny, skoro raptownie zesztyniał.

— Jest taki jeden łajdak — wycedził. — Podobno pętał się przez wiele lat za granicą po różnych placówkach. Za forszę, którą przywiózł do kraju, wkupił się do jakiejś spółki polonijno-zagranicznej. Teraz odgrywa rolę przedstawiciela i dyrektora firmy w jednej osobie. Pieniędzy ma oczywiście nadal jak lodu... Ewa poznała go na wystawie miniatury zachodnioeuropejskiej, którą — czy to nie ironia losu — sam organizowałem w galerii. Od tego właśnie wszystko się zaczęło...

Aż się zachłysnęłam.

— Co powiedziałeś? Na wystawie miniatury? Jak się nazywa ten facet? — wyrzuciłam z siebie jednym tchem.

Spojrzał na mnie z ukosa.

— Charamuszko, Mieczysław Charamuszko.

Dopiero teraz uświadomiłam sobie dramatyzm sytuacji.

— Charamuszeko? Ależ ten człowiek dopiero co stąd wyszedł! Szukał Ewy — rozumiesz?

Filip spojrzał na mnie nieprzytomnym wzrokiem.

— Jak to? To ona ... nie z nim? A ja, idiota, cały czas myślałem...

— Słuchaj, Filipie — powiedziałam z przekonaniem. — Sytuacja zaczyna się robić poważna. Ten Charamuszeko miał się tu podobno spotkać z Ewą dziś rano o dziesiątej. Ale Ewa nie przyszła. Ty z kolei twierdzisz, że od piątku nic wróciła do domu. Coś więc się chyba musiało stać. Podobno obiecała Charamuszeemu, że mu dostarczy francuską miniaturę, przedstawiającą damę w kapeluszu ze strusim piórem. Nie wiem, czy chodzi o sprzedaż, czy...

Nie zdążyłam dokończyć.

— A więc tak! Więc okazała się zdolna i do takiej podłości! Nie bała się, że wszystko może wyjść na jaw!

Był wyraźnie poruszony — ja nie mniej.

— Co miało wyjść na jaw? — spytałam. Spojrzał na mnie z determinacją.

— Właściwie przysięgałem sobie, że nie wspomnę o tym nikomu ani słowa. Nie chciałem kompromitować ani siebie, ani Ewy. Ale skoro sprawy zaszły tak daleko... — zapalił kolejnego papierosa. — Powiem ci teraz coś, o czym nikt nie wie, rzecz jasna z prośbą o absolutną dyskrecję. Otóż, kiedy likwidowałem wystawę miniatury zachodnioeuropejskiej, tę samą, podczas której Ewa poznała Charamuszkę, popełniłem poważny błąd. Przyniosłem jedną z miniatur do domu. czego mi w żadnym wypadku nie wolno było robić. Uległem jednak, przyznając, własnej słabości. Postanowiłem ją skopiować, a w trakcie wystawy nie miałem żadnej po temu okazji...

Wiedziałam, że Filip ma zdolności malarskie i nawet oglądałam niektóre jego obrazy, lecz nie miałam pojęcia, że zajmuje się również kopiowaniem.

— Była to francuska XVIII- wieczna miniatura, wyobrażająca młodą kobietę w dużym kapeluszu ze strusim piórem — ciągnął dalej. — Ekspонат został wypożyczony na wystawę od jednego z prywatnych kolekcjonerów, a choć był wysoko ubezpieczony, ja odpowiadałem za jego bezpieczeństwo. Tymczasem zawiodłem zaufanie...

W jego głosie zabrzmiała gorycz, na którą nic nie mogłam poradzić.

— Wkrótce potem miniatura zniknęła. Przeszukałem cały dom — daremnie. Wpadłem w rozpacz. Wiedziałem, czym może się to dla mnie skończyć. Jeśli miniatura się nie znajdzie, nikt nie uwierzy w moją fantastycznie brzmiącą opowieść. W rzeczywistości jednak prawda okazała się dalece bardziej fantastyczna.

— Ewa... ? — zapytałam.

— Właśnie, znasz ją. Niepotrzebnie się jej zwierzyłem, kiedy zauważyła, jak kopiuję miniaturę. Pech chciał, że tego samego wieczoru mieliśmy poważną scysję. Na drugi dzień rano miniatura zniknęła. Początkowo myślałem, że Ewa chce się w ten sposób zemścić. Zacząłem upominać się o miniaturę. Wiesz, co usłyszałem? Że „wypożycza” sobie miniaturę na jakiś czas, ponieważ może to jej ułatwić wejście w środowisko, którym się aktualnie interesuje. W moim pojęciu to czysty nonsens — no, ale załóżmy, że ona w to wierzyła...

Byłam przekonana, że tak. Ewa, enfant terrible polskiej żurnalistyki, ubóstwiała podobne dziennikarskie chwyt. Jeżeli jednak miało się to dziać z krzywdą Filipa, zachowała się po świńsku.

— Nie próbowałaś przemówić jej do rozsądku? — spytałam.

— Próbowałam. Wyśmiała mnie. Oznajmiła, że zależę teraz od jej łaski — albo niełaski. Jeżeli będę się zachowywał „przyzwoicie” — takiego określenia właśnie użyła — dostanę miniaturę rychło z powrotem.

— A jeśli nie?

— Dobrze wiedziała, że mam zamknięte usta i że nie mogę nic zrobić, nie oskarżając równocześnie i siebie. Chyba zrozumiała, że chciałem tego uniknąć.

— Więc co postanowiłeś?

— Przez ostatnie dwa tygodnie — bo wszystko to trwa już około dwóch tygodni — grałem na zwłokę. Dawałem kolekcjonerowi wymijające odpowiedzi, że miniatura właśnie przechodzi drobne zabiegi konserwatorskie po wystawie... Jednym słowem odwlekałem jak mogłem moment jej zwrotu. Ale ile mi jeszcze pozostało czasu? Myślę, że już bardzo niewiele...

Wszystko to brzmiało rzeczywiście wręcz niewiarygodnie. Filip miał rację — czy ktoś mógł uwierzyć w tego rodzaju bajeczkę? Nawet i ja, choć znałam zagrania Ewy, byłam bliska zwątpienia. Jednakże niektóre szczegóły rzeczywiście się zgadzały. Przed dwoma tygodniami Ewa pokazała mi po raz pierwszy miniaturę. Ja natomiast wtajemniczyłam ją w historię małżeństwa Pabisiaków i striptizerki Marioli. Może gdyby nie to, wszystko potoczyłoby się inaczej. Ewa wróciłaby do domu z miniaturą i oddała ją Filipowi, a ja nie cierpiałabym z powodu poczucia winy, które mnie teraz ogarnęło... Jeżeli bowiem Filip mówił prawdę, tylko wtedy mógł przyjść Ewie do głowy pomysł wykorzystania XVIII-wiecznej miniatury w charakterze klucza do środowiska bogatej elity.

Już po raz drugi, chociaż w odmiennych okolicznościach, dochodziłam do identycznego wniosku. Jakaś jednakże rolę odgrywał tu Mieczysław Charamuszko, któremu Ewa chciała podobno sprzedać miniaturę, stanowiącą własność nieznanego kolekcjonera? Filip widział w nim amanta swojej żony, co mnie wydawało się mało prawdopodobne. Ze swoim szmałem i wyglądem Mieczysław Charamuszko mógł mieć właściwie każdą piękną dziewczynę i nie zawracać sobie głowy Ewą. A jednak, jak twierdził Filip, wydzwaniał stale właśnie do Ewy. Jeżeli postępował tak z powodu miniatury, którą koniecznie chciał kupić — wszystko stało się jasne. Oprócz motywów postępowania Ewy. Pytaniem otwartym pozostawało nadal, czy rzeczywiście zamierzała ona sprzedać miniaturę Charamuszcze, czy też i jego przez cały czas zwodziła, chcąc, ażeby w oczach męża uchodził za rywala? Zwłaszcza, że z upływem lat krąg otaczających ją mężczyzn malał i nie mogła tego nie dostrzegać.

Nic podzieliłam się oczywiście swoimi dywagacjami z Filipem, Zapytałam jedynie:

— No i co teraz? Co masz zamiar robić? Wzruszy! ramionami.

— Naprawdę nic wiem. Chyba mam tylko jedno wyjście: powiesić się — zażartował, ale wypadło to blade. — W piątek rano przeprowadziłem w- każdym razie zasadniczą rozmowę z Ewą. Powiedziałem, że jeśli do poniedziałku nie dostanę miniatury z powrotem, pójdę na milicję i powiem o wszystkim. Bez względu na konsekwencje,

— Co ona na to?

— Jak to Ewa. Śmiała się. Myślę, że nie traktowała moich słów poważnie. Powiedziała, że w poniedziałek będę miał miniaturę z powrotem i żeby jej nie straszyć milicją, bo wcale się nie boi. Przy okazji nie



omieszkała mi dociać, że w razie czego oddam kopię wypożyczonej miniatury, a ponieważ trudno ją odróżnić od oryginału, nikt się nie pozna.

Ach tak! Filip słusznie to przypomniał. Istniała przecież jeszcze kopia miniatury. Nagle coś mi zaświtało.

— Filipie, gdzie ją masz? Gdzie masz te kopie?

Machnął z rezygnacją ręką.

— Leży gdzieś w domu. Nawet nie pamiętam, gdzie. I proszę, nie wmawiaj mi, że Ewa pewnie dawno zamieniła kopię na oryginał i odtąd tylko droczy się ze mną.

Wcale tego nie wykluczałam. Historyk sztuki, który z całą pewnością zdaje sobie sprawę z wartości starej miniatury, nie będzie jej przecież nosił stale przy sobie, a już zwłaszcza wybierając się na dansing do restauracji. Natomiast, gdyby to była bezwartościowa kopia... Niektóre zdarzenia mogły się wówczas jawić w innym świetle. Na przykład scysja Ewy z Fabisiakiem w „Kongresowej”...

Przyszedł mi naraz do głowy szalony pomysł. Patrząc badawczo w oczy Filipowi przechyliłam się w jego stronę i niby bez żadnej ukrytej intencji, zagadnęłam:

— Czy mówi ci coś adres: Izabelin, ulica Dębowa 3?

Zauważyłam, że jego kwadratowe szczęki zacisnęły się. I tylko to zdradziło jego prawdziwą reakcję. Gdy się bowiem po chwili odezwał, głos miał opanowany, nieledwie flegmatyczny.

— Nic. Czy może to ma coś wspólnego z Ewą? — zapytał.

— Tak. Ewa nic ci o tym nie wspominała?...

— Ewa nie ma zwyczaju powierzać mi swoich tajemnic — odrzekł sucho.

Poradziłam mu, żeby jak najszybciej zawiadomił milicję.

## 4

---

Łukasz pracował w jednej z central handlu zagranicznego, natomiast w zespole przyjmował w bardziej skomplikowanych przypadkach we wtorki, środy i piątki po południu. Dziś był poniedziałek, więc mogłam go złapać jedynie w przedsiębiorstwie lub w sądzie.

Był w sądzie: w masywnym, szarym gmachu, w którym od lat sądzono ludzkie występki, konflikty i nieszczęścia. Poczekalam aż wyjdzie z sali rozpraw i podeszłam do niego. Z całą pewnością zaskoczyłam go.

— Czy coś się stało? — zapytał.

— Ewy nic ma od trzech dni w domu — powiedziałam bez zbędnych ceregieli. — Filip, jej mąż, był dzisiaj w zespole. Jest bardzo zaniepokojony.

Łukasz przystanął, oparł się o parapet.

— Rozumiem — rzekł powoli. — A dlaczego przyszedłeś z tym akurat do mnie?

— Jak to? — zdziwiłam się. — Przecież to właśnie ty zostałeś z nią w „Kongresowej” w piątek w nocy. Filip zaś mówi, że od piątku nie ma jej w domu. Więc chyba, u diabła, mam prawo cię zapytać...

Podniósł dłoń w geście protestu.

— Dość, nic musisz kończyć! Domyślam się, co chcesz powiedzieć! I odpowiadam od razu: u mnie jej nie ma!

— Ależ... — usiłowałam się tłumaczyć. — Chyba się nie ma o co obrażać. Wcale nic to miałam na myśli...

— Nie? — zapytał z wyraźną ironią. — To jakiej właściwie spodziewałaś się odpowiedzi? Co chciałaś usłyszeć? Historię upojnego romansu? Powtarzam jeszcze raz: nic i nigdy, prócz przelotnej znajomości, nic łączyło mnie z Ewą! Nie mam zielonego pojęcia, gdzie ona teraz jest i co się z nią stało.

— Nie gniewaj się — powiedziałam, dokładając starań, aby zabrzmiało to jak najbardziej pojednawczo. — Nie chciałam, żeby tak wyszło. Ale skoro tak to właśnie zrozumiałaś — przepraszam. Wybacz, jestem zdenerwowana — położyłam mu rękę na ramieniu i zaproponowałam zejście na dół, do bufetu sadowego.

Sala była wypełniona po brzegi. Przy wszystkich stolikach siedzieli ludzie, pogrążeni w rozmowach bądź we własnych myślach. Mecenasi, których czarne togi z zielonymi wypustkami wisiały przewieszane przez krzesła, szepotali ze swymi klientami.

Stoliki były brudne, krzesła miały rozchwiane nogi, kawy brakowało. Gdyby na prestiż wymiaru sprawiedliwości patrzeć od kuchni, byłby to—naprawdę mało budujący widok,

Nie miałam jednak wyboru, a zresztą po kilku minutach i tak się przyzwyczaiłam. Pijąc cieką herbatę, zaczęłam dyplomatycznie:

— Słuchaj, Łukasz, a może Ewa coś ci mówiła o swoich planach?

— Jedynie to, że umówiła się na wywiad ze striptizerką Mariolą z „Kongresowej”. Ale to chyba i ty słyszałaś, o ile się nie mylę.

Poczułam niesmak. Nie mylił się, lecz po co o tym przypominał? Przyszło mi nagle coś do głowy. Jeżeli już raz zrobiłam próbę 7. Charamuszką, a następnie z Filipem, dlaczego teraz nie popróbować z Łukaszem? Błyskawicznie się zdecydowałam.

— Łukasz, czy mówi ci coś adres: Izabelin, Dębowa 3?

Pomyślałam, że jeszcze trochę, a wpadnę w obsesję. Dlaczego akurat to utkwilo mi w pamięci mocniej niż wszystko inne?

— Izabelin? — powtórzył. — To, zdaje się, gdzieś w okolicy Puszczy Kampinoskiej. Chyba tam nawet kiedyś byłem na jakimś weekendzie. Ale ulica Dębowa? Nie, nie znam. Cóż to za tajemniczy adres?

— Sama nie wiem — wyznałam. — Ewa mi go dała, bez słowa komentarza, wiesz, jak to ona. — Naraz powzięłam postanowienie. — Właśnie dzisiaj chcę się tam wybrać — oznajmiłam wprost. — Może to mi pomoże wyjaśnić zniknięcie Ewy? Nie pojechałbyś ze mną? — zaproponowałam.

Przez chwilę się namyślał. Później jednak jego wzrok padł na czarną aktówkę, wypełnioną dokumentami, którą miał ze sobą.

— Niestety — odrzekł — to wykluczone. Widzisz, jaka mnie czeka dziś robota. Przygotowuję właśnie projekt kontraktu, który nasza centrala ma zamiar zawrzeć z zagranicznym partnerem. Wkrótce mam wyjechać razem z całą oficjalną delegacją na rozmowy.

Jeszcze nie wyjeżdżał, a już się zrobił urzędowo napuszony. Wróciłam do przerwanej wątku.

— Jak długo jeszcze zostaliście z Ewą w „Kongresowej” po moim wyjściu?

— Jakaś godzinę, może półtorej.

— Wyszliście razem?

Łukasz odstawił szklanekę z herbatą, patrząc na mnie bez cienia sympatii. W oczach miał czerwone, przekrwione żyłki.

— Co to, śledztwo? — powiedział opryskliwym tonem.

Zaprzeczyłam z pełnym przekonaniem.

— Po prostu usiłuję dowiedzieć się czegoś, co by pomogło wyjaśnić przyczynę zniknięcia Ewy.

— Myślisz, że Ewa... — powiedział ze znaczącą intonacją. — Że coś się jej mogło przydarzyć? Coś złego? Nigdy bym sobie tego nie darował!

Zamurowało mnie.

— Jak to? — wykrztusiłam. — O czym ty właściwie mówisz?

— Po wyjściu z „Kongresowej” długo nie mogliśmy złapać taksówki. W końcu Ewa wpadła na pomysł, że pójdzie nam to łatwiej na postoju przed Dworcem Centralnym, do którego jest niedaleko z „Kongresowej”. Niestety, stała tam tylko kolejka oczekujących. Noc była deszczowa, padało, więc Ewie nie chciało się czekać na taksówkę na dworze. Powiedziała, że jest jej zimno i wejdzie do hali dworcowej, gdzie przy okazji kupi papierosy. Miała niebawem wrócić. Od tej pory jej nie widziałem.

— Jak mam to rozumieć?

— Nie wiem, co się z nią stało. Po prostu — nie wiem. Po długim oczekiwaniu, kiedy taksówki zaczęły najeżdżać jedna za drugą, poszedłem jej poszukać. Na próżno. Pomyślałem, że złapała „okazję” albo się do kogoś dosiadła. W każdym razie uznałem się za rozgrzeszonego i też pojechałem do domu.

— Słuchaj, Łukasz — powiedziałam. — Tylko że ona nie dotarła do domu. Tak przynajmniej twierdzi Filip, jej mąż.

Łukasz zachnął się.

— Jaką masz gwarancję, że mówi prawdę? Wypowiedział głośno podejrzenie, które

tkwiło także i we mnie. Czy Filip kłamie? — kołatało mi po głowie. Od dawna żyli ze sobą źle. Ostatnio doszła jeszcze historia z miniaturą i narastające w związku z tym u Filipa poczucie zagrożenia. Jeżeli Ewa chciała komuś dokuczyć, potrafiła być wyjątkowo przykra — aż do granicy wytrzymałości. Co by się mogło stać, gdyby pewnego dnia granicę tę przekroczyła?

Podświadomie broniłam Filipa przed osądzeniem, które się jednak samo nasuwało. Przypomniała mi się rozmowa z Charamuszką. Twierdził, że Ewa wspominała mu o jakimś swoim rychłym wyjeździe pod Warszawę. Czyżby miała na myśli ów zagadkowy adres w Izabelinie? Albo... Na Dworzec Śródmieście, skąd odchodzą pociągi podmiejskie, jest z Dworca Centralnego zaledwie kilkadziesiąt metrów przejściem podziemnym. Nic prostszego, jak skorzystać z nadarżającej się okazji. Zapytałam Łukasza, czy był również na śródmieściu. Wzruszył ramionami.

— Oczywiście, że nie. Dlaczego akurat tam miałbym jej szukać?

— Wiesz, że ona czasem miewa różne nieoczekiwane pomysły...

Wydał sceptycznie usta. Chyba jednak nic za bardzo mi wierzył i miał swój własny pogląd na całą IQ sprawę. Może dlatego, że nie znalazł Ewy tak dobrze i tak długo jak ja? Lecz chyba przede wszystkim dlatego, że nie znał adresu, który przed dwoma tygodniami przepisywałam do rejestru zespołu z dowodu osobistego mojej klientki, Lidii Fabisiak. Był to adres w Falenicy, jednej z miejscowości podwarszawskich, do której kursowały elektryczne pociągi z Dworca Śródmieście.

Pierwszy po kilkugodzinnej nocnej przerwie pociąg do Falenicy odchodził o 3.22. Sprawdziwszy to w rozkładzie jazdy popadłam w rozterkę. Naraz ogarnęły mnie wątpliwości, czy aby na pewno moja hipoteza jest trafna. Lato było już wszak u schyłku, rozwidniało się dość późno, a ciemność sprzyjała różnego autoramentu niebieskim ptaszkom i czyniła tego rodzaju eskapadę niebezpieczną, zwłaszcza dla kobiety. Do podjęcia jej mogło skłonić jedynie coś naprawdę bardzo pilnego i nie cierpiącego zwłoki, bo jaka właściwie interes mogła mieć Ewa do załatwienia o takiej wczesnej porze w Falenicy?

Nic innego jednak nie przychodziło mi do głowy. Postanowiłam udać się do Fabisiaka. Z myślą, że może w ten sposób dowiem się czegoś bliższego, ruszyłam swoim maluchem na Mokotów.

Zakład, na którym znajdowała się wywieszka: „Jan Fabisiak. Usługi jubilersko-złotnicze z powierzonego materiału”, mieścił się przy niepozornej uliczce z ocalałą prawie w całości przedwojenną zabudową, ocienioną żółknącymi kasztanami. Na wystawie połyskiwała garść sztucznych kamieni.

Wewnątrz nic było nikogo. Rozejrzałam się ciekawie, choć nie bez rozczarowania. Znajdowałam się w niewielkim pomieszczeniu. Na stosunkowo szerokiej lecz krótkiej drewnianej ladzie, przykrytej zielonym suknem, stała waga z mikroskopijnymi odważnikami, obok lady zauważyłam krzesło. Nawet choćbym chciała, nie zdążyłabym na nim usiąść. Zza kotary, zasłaniającej pokój na zapleczu, ukazał się masywnie zbudowany mężczyzna w granatowym roboczym fartuchu. Miał grubo ciosaną twarz człowieka z marmuru, który zszedł z mobilizujących plakatów po przekroczeniu pięćdziesiątki. Jego włosy były mocno szpakowate, lecz nie przeredzone, gęste brwi, zbiegające się nad nosem, kazały się domyślać mężczyzny, który wie, czego chce. Widocznie oderwałam go od pracy, bo strzepnąwszy z fartucha jakieś niewidoczne drobiny trochę niecierpliwie powiedział:

— Słucham panią.

— Czy pan Fabisiak? - - upewniłam się. W jednej chwili stał się nieufny.

— Tak — potwierdził sucho. — O co chodzi?

— Przyszłam w sprawie Ewy Hanke.

— Nie znam nikogo takiego — rzucił bez namysłu. Ciężkie nieruchome spojrzenie, jakim mnie potraktował, nie zachęcało do dalszego dyskursu.

Nieproszona usiadłam na krześle obok lady, zakładając demonstracyjnie nogę na nogę.

— Nie ma sensu zaprzeczać — stwierdziłam z przekonaniem. — Byłam świadkiem, jak pan wyrzucił Ewę z garderoby striptizerki Marioli w piątek wieczorem w „Kongresowej”.

Nigdy nie przypuszczałam, że potrafię kogoś wyprowadzić tak szybko z równowagi. Raptownie stał się jak chmura gradowa.

— Co? — powiedział tonem, który wywołał u mnie gęsią skórę. — Jeszcze jedna szpiclówka?

Nawet nie wiem, kiedy wyszedł zza lady i znalazł się przede mną, nie kryjąc swoich zamiarów.

— Wynoś się stąd, ale już! — zażądał bez zbytnich ceregieli i bez przesadnej troski o konwenanse. Złapał mnie za ramiona, podnosząc w górę jak kota. Z twarzą przy mojej twarzy, dysząc ciężko, dorzucił: — I nie waż się mnie kiedykolwiek szpiclować! Bo ci wszystkie kości połamię.

Nie wątpiłam w realność tej groźby. Przynajmniej obecnie.

Popchnął mnie bezceremonialnie w stronę drzwi i dopiero wtedy zdołałam wybąkać:

— Ależ to jakieś nieporozumienie! Ani mi w głowie pana szpiclować! Bierze mnie pan najwidoczniej za kogoś innego...

Miał pewnie inny pogląd, ponieważ zupełnie zlekceważył moją deklarację.

— A mojej żonie, która cię tu nasłała — zapowiedział — możesz powtórzyć jedno: że choćby nie wiem co wyprawiała, i tak dostanę rozwód. Słyszysz? Dostanę i już!

Wypchnął mnie na ulicę, z której przed paroma minutami tu weszłam. Usłyszałam zgrzyt klucza w zamku.

Kilku przechodniów przystanąło, przyglądając mi się ciekawie. Zniechęcona obrzuciłam ich złym wzrokiem i powlokłam się w kierunku samochodu. Opadłam ciężko na fotel. Cała moja wyprawa poszła na marne. Dałam się ośmieszyć i wyrzucić przez chama, który mnie potraktował w sposób brutalny i ordynarny.

Gdybym mniej rozmyślała, a więcej patrzyła przed siebie, musiałabym zauważyć, że z bramy obok zakładu Fabisiaka wyjechał nagle jakiś samochód i pełnym gazem ruszył wprost na mojego malucha. Odruchowo zamknęłam oczy. Wcisnęłam się głębiej w siedzenie, oczekując łoskotu gruchotanej blachy. Rozległ się jednak tylko zgrzyt hamulców, pisk opon biorących ostry zakręt i głośny męski śmiech. Czerwony golf przemknął obok mnie jak rakietą. Prowadził go Fabisiak. Choć nie miał już fartucha, poznałam go od razu. Obok — czy mnie wzrok nie mylił? — siedziała striptizerka Mariola. Pęd powietrza, wpadający przez otwarte okno, rozwiewał jej długie, ciemne włosy.

Na miękkich nogach wysiadłam z samochodu. Czerwony golf znajdował się już daleko, przy skrzyżowaniu mrugającym światłami.

Za bramą, z której przed chwilą wyjechał, odkryłam sporej wielkości podwórko i tylne, zapasowe wyjście z zakładu. Poczułam kolejny przyływ złości. „A więc —? pomyślałam — scena, w której dopiero co odegrałam jedną z głównych ról, miała nie tylko swoich aktorów, lecz i swoją widownię”. Skąd mogłam jednak wiedzieć, że oprócz Fabisiaka w zakładzie znajduje się jeszcze Mariola?

Wróciłam do swojego malucha, przekręciłam kluczyk wr stacyjce i ruszyłam do Izabelina.

Drewniany łeb łosia, który mnie powitał nie opodał tablicy z napisem: „Izabelin11, zapowiadał Bóg wie jakie ostępy Puszczy Kampinoskiej. Tymczasem wjechałam między świeże wille nowobogackich, ukryte wśród sosen i ogrodów z ujadającymi wilczurami. Jedynym śladem łosia, na jaki się natknęłam, była restauracja „Pod Łosiem”.

Był to parterowy, wysoko podpiwniczony budynek z surowej czerwonej cegły, do którego wchodziło się po kilku schodkach. Zza otwartych okien dochodził zmieszany gwar głosów, zapach potraw i alkoholu. Nad drzwiami widniał realistyczny konterfekt łosia o rozłożystych rogach, nad którym biegła owalem informacja: „Restauracja Pod Łosiem”. Izabelin. Dębowa 3.

Dotarłam do celu, ale nie do rozwiązania zagadki. Dlaczego Ewa prosiła mnie o zapamiętanie tego właśnie adresu? Czego szukała w zwykłej podwarszawskiej knajpie?

Na szutrowym parkingu stało kilka samochodów. Minęłam je obojętnie i już miałam wstąpić na schodki, prowadzące do restauracji, gdy nagle zauważyłam czerwonego golfa.

Czerwonych golfów nie jeździ specjalnie dużo po Warszawie. Od razu więc pomyślałam o wozie Fabisiaka. Cofnęłam się w cień rozłożystego dębu, od którego prawdopodobnie wzięła nazwę cała ulica. Nie wątpiłam, iż jeśli teraz powtórnie natknę się na Fabisiaka, nie omieszka on wprowadzić w czyn swoich pogroźek. Zbyt świeżo miałam zaś w pamięci jego zachowanie, aby obecnie ponownie narażać się na impertynencje. Musiałam wymyślić coś innego.

Ponieważ restauracja była zwrócona do ulicy frontem, uznałam, że część okien musi wychodzić także gdzieś z boku. Być może nadarzy mi się okazja zerknięcia do środka bez zdradzenia swej obecności.

Ruszyłam zwawo naprzód, lecz wkrótce zatrzymała mnie metalowa siatka, za którą piętrzyły się stosy opakowań. Przed drewnianą budą spał wielki kundel. Niceo dalej siatka kończyła się, a zamiast niej wyrastał biały, świeżo wznoszony mur.

Był wprawdzie dość wysoki, lecz w miejscu, gdzie roboty na razie utknęły, widniała spora szczyrba, założona prowizorycznie deskami. Odsunęłam je i zajrzałam do środka.

Ujrzałam biały budynek o spadzistym dachu, projektowany najwyraźniej z myślą o ludziach, którzy umieją inwestować duże pieniądze. Z oświetlonych okien na piętrze padały na trawniki żółte prostokąty światła. Na tarasie pełnił nocną wachtę samotny, pasiasty parasol, pod którym siedziało kilka osób, sącząc jakieś napoje.

Wyglądało to na przyjęcie. Naraz w ogrodzie ukazał się jakiś mężczyzna, idący w towarzystwie dwóch kobiet. Pierwsza z nich, starsza, była niezmiernie chuda i wysoka. W letnim kapeluszu z rafii na siwych włosach wyglądała jak przedwojenna hrabina, a gestykulowała jak Włoszka. W drugiej rozpoznałam striptizerkę Mariolę. Miała na sobie mocno obcisłą sukienkę koloru czerwonego wina i śmiała się zbyt głośno, aby uwierzyć w jej staranne wychowanie.

Na widok nowo przybyłych w towarzystwie pod pasiastym parasolem zapanował nagły ruch. Rozległy się okrzyki powitania i szuranie odsuwanych krzeseł. Po krótkiej wymianie zdań wszyscy razem przeszli przez taras, znikając w głębi willi.

Zaledwie straciłam ich z oczu, kiedy przed domem ukazał się ten sam co poprzednio mężczyzna — teraz już bez kobiet. Rozglądając się uważnie zszedł z tarasu i znalazł się ponownie w ogrodzie. Tutaj zatrzy-

mał się przez chwilę, wodząc wokół wzrokiem. Miałam wrażenie, że nasze oczy się spotkały i że mnie spostrzegł. Mimo wieczornego chłodu spociałam się jak mysz. Wrócił jednak jak gdyby nigdy nie na taras.

Dopiero teraz zauważyłam, że wcale nic było tam pusto. Oparty o balustradę, émił papierosa osobnik o wyglądzie kulturysty. Mężczyzna przywołał go gestem ręki i coś konspiracyjnie zaszeptał. Tamten skinął potakująco głową i skierował się w stronę domu, skąd przez otwarte okna dochodził gwar rozmów i jakieś inne odgłosy, których nie umiałam zidentyfikować.

Zanim jednakże wszedł do środka, wyłoniła się stamtąd niespodziewanie grupa mężczyzn w samych tylko spodniach i koszulach. Za moment wybiegł za nimi jeszcze jeden. Chwiejnym krokiem podszedł do mocno otyłego faceta o dużym brzuchu, który stał na samym przodzie i ni stąd ni zowąd krzyknął piskliwym falsetem:

— Ty skurwielu! I tak cię kiedyś dopadnę i wtedy się policzymy! Zobaczysz! '

Nie zabrzmiało to specjalnie obiecująco, zwłaszcza że — jak odniosłam wrażenie — słowa miały być od razu przekute w czyn. Zanim jednak doszło do tego, rozległ się ostrzegawczy rozkaz:

— Tylko bez rozrób, panowie! Szef nie życzy tu sobie żadnych awantur!

Postawa kulturysty dowodziła, że nie rzuca słów na wiatr. Pijak opuścił powoli podniesioną pięść i sflaczały powłókł się sam do ogrodu.

Odsunęłam jeszcze jedną deskę, by nie uronić żadnego szczegółu. Niczym na scenie rozgrywały się na moich oczach wydarzenia, których sensu nie rozumiałam i nie umiałam ich zlepić w jedną całość. Czy Ewa Hanke również widziała coś podobnego i czy o tym myślała, podając mi adres w Izabelinie?

Ktoś wychylił się przez okno.

— Hrabio! —zawołał półgłosem jakiś rozkapryszony kobiecy głos. — Niechże pan tu wreszcie do nas wróci!

Gwar rozmów na chwilę przycichł i wtedy doszły mi miarowe, wyraźnie wybijane słowa, wypowiedane w obcym języku, wydawało mi się, że po francusku.

— Hrabio! Słyszysz pan? — powtórzy! ten sam damski dyszkant. — Czekamy na pana! Bez pana nie możemy...

Reszta już do mnie nie dotarła. Spadło na mnie uderzenie, które wraz z gorącym, przeszywającym mózg bólem, wrzuciło mnie w ciemność...

— Ostrzegałem, że pchanie nosa w cudze sprawy może się źle skończyć — poinformował mnie głos, na dźwięk którego zadrzałam. Podniosłam głowę i ujrzałam rozmazaną w ciemności sylwetkę Jana Pabisiaka.

Dłonią namacałam duży guz pod włosami. Mimowolnie jęknęłam, lecz nie wzbudziłam należytego współczucia.

— W przyszłości chyba odejdziesz ochota na przeszpiegi? — usłyszałam.

Wstawałam powoli, bez niczyjej pomocy, przekonana, że Fabisiak to drań i łobuz, ale ja się muszę okazać do końca damą.

— Stosuje pan mało oryginalne metody wychowawcze — stwierdziłam. — Uważa pan, że pięść załatwia wszystkie problemy?

— Kto tu mówi o pięści? — zaśmiał się jak nieokrzesany prostak. — To nie pięść. To belka spadła szanownej pani na głowę. Właśnie szedłem z restauracji przez ogród, kiedy usłyszałem jakiś rumor — kopnął nogą jedną z leżących na ziemi desek. — Któraś z nich musiała się obluzować i wyręczyła mnie. bo pewnie zrobiłbym to samo z każdym, kogo bym przyłapał tu na szpiclowaniu.

..Belka? — pomyślałam sceptycznie. Czy któraś z nich naprawdę mogła obsunąć się na tyle szybko, bym tego wcześniej nie usłyszała?"

— Idziemy! — rozkazał Pabisiak, ujmując mnie pod ramię tak mocno, że nie mogłam się wyrwać, a krzyknąć się bałam.

Nie opodał, pod lasem, stał czerwony golf. Fabisiak otworzył drzwiczki, wpychając mnie na przednie siedzenie.

— Tylko bez żadnych sztuczek! — ostrzegł. — Nie lubię być niegrzeczny wobec kobiet!

No, to mu się doprawdy udało!

Ruszyliśmy pełnym gazem w stronę Warszawy, Siedziałam jak trusia, milcząc. „Ten człowiek to wariat, albo niezrównoważony przestępca” — pomyślałam. Może gdzieś po drodze będzie się musiał zatrzymać? Modliłam się, ażeby wyrósł przed nami jakiś przejazd kolejowy, uszkodzony autobus, wypadek z mnóstwem gapiów i milicją. Wtedy będę mogła wyskoczyć, uwolnić się. Właśnie przysięgałam sobie, że żadna siła nie zmusi mnie już do powtórnej wizyty na ulicy Dębowej, kiedy niespodziewanie Fabisiak łonem najnormalniejszym w świecie zapytał:

— Dokąd mam panią zawieźć, żebyśmy mogli spokojnie porozmawiać?

Z zaskoczenia odebrało mi mowę.

— A więc — nalegał. — Do domu? Do kawiarni?

Czyżby naprawdę był to ten sam Fabisiak, którego — jak mi się zdawało — zdążyłam poznać z jak najgorszej strony? Jeszcze trochę w tym stylu, a uszczypnę się, żeby się upewnić, że nie śnię.

— Nie — odpowiedziałam krótko, pchana niesprecyzowanym impulsem — niech mnie pan zawiezie do zespołu.

Odwrócił się szybko w moją stronę.

— Do zespołu adwokackiego? — zagadnął. — No tak, mogłem się tego domyślać. Tamten mecenas okazał się pewnie do niczego i wtedy zwróciła się do pani, co?

— To nieporozumienie — rzekłam. — Prowadzę Zespół Porad Społeczno-prawnych, to jednak coś innego niż zespół adwokacki. Pańska żona, nie ukrywam, była wprawdzie u mnie. Ale moja bytność w izabelinie nie miała z tym nic wspólnego. Nic szpieguję pana. Już raz, na Mokotowie, usiłowałam to panu wyjaśnić, ale nie dał mi pan dojść do słowa. Może więc rzeczywiście dobrze, że porozmawiamy?

Podaliśmy mu adres zespołu, jednakże kiedy już znaleźliśmy się na miejscu, zaczęły mnie nachodzić wątpliwości, czy aby na pewno dokonałam trafnego wyboru. Zespół był cichy, pusty, jak wymarły, z popielniczkami pełnymi niedopałków, których nikt nic raczy! opróżnić. Zaczęłam żałować, że nie ma tu ze mną Łukasza albo przynajmniej Mikołaja.



Wchodząc przejrzałam się w lustrze, wiszącym w przedpokoju. Po przygodach w Izabelinie moja twarz i ręce przypominały kominiarza w sekundę po wynurzeniu się z komina. Na szczęście mieliśmy tu także i łazienkę, odziedziczoną wraz z całym dobrodziejstwem inwentarza po dawnym prywatnym mieszkaniu.

Ledwie weszłam do środka, zamykając się pieczołowicie na klucz, kiedy zadzwonił telefon.

Klnąc pod nosem wyskoczyłam do przedpokoju, gdzie zostawiłam Pabisiaka. Na mój widok drgnął, jak gdybym go niespodziewanie i niemile na czymś przyłapała. Usiadł przy stoliku i zaczął przerzucać leżące tam czasopisma.

Podniosłam słuchawkę.

— Halo! — zawołałam. Odpowiedziała mi cisza. Nagle rozległ się sygnał i połączenie zostało przerwane.

Wzruszyłam ramionami i wróciłam do łazienki. Opuszczając ją czułam się jak nowo narodzona. Nawet guz z tyłu głowy przestał mi tak ćmiąco dokuczać i tylko od czasu do czasu przypominały o nim lekkie mdłości.

Wskazałam Pabisiakowi tradycyjny fotel dla klientów. Tutaj czułam się jak u siebie w domu i byłam panią sytuacji. Poczekalam aż zapali papierosa i oznajmiłam:

— Chodzi o moją przyjaciółkę, Ewę Hanke...

Ponieważ nie podjął wątku, ciągnęłam dalej:

— Od trzech dni nie ma jej w domu. Mąż Ewy zgłosił już milicji o jej zaginięciu. Wiem, że pan widział się z nią w piątek w nocy w „Kongresowej”, a na sobotę umówiła się na wywiad z pańską przyjaciółką, striptizerką Mariolą. Czy może ma pan jakieś informacje, które mogłyby ułatwić poszukiwania? Czy Ewa przyszła na wywiad do pani Marioli?

W tym momencie telefon odezwał się ponownie.

— Kto mówi? — zapytałam, nie poznając w pierwszej chwili głosu. — Ach, to ty, Filipie... Dzwoniłeś już kilka razy? Nie, nikt mi nic nie powtarzał. Odebrałam tylko przed paroma minutami jakiś głuchy telefon. Połączenie zaraz się przerwało. Czy wiesz coś nowego?

— Znalaziono Ewę — powiedział zmienionym głosem Filip.

— Jak to: znalaziono? — zdenerwowałam się. — Co to znaczy?

— Ewa nie żyje. Milicja twierdzi, że została zamordowana.

— Ewa zamordowana? — powtórzyłam z niedowierzaniem. Mdłości podeszły mi falą pod gardło i po raz drugi tego dnia zrobiło mi się ciemno przed oczami.

Kiedy się ocknęłam, byłam w pokoju sama. Jedynie za biurkiem zwisała słuchawka, która wypadła mi z ręki. Bez przerwy odzywał się w niej przeciągły sygnał.

# CZEŚĆ II

## 1

---

Ogarnąłem wzrokiem ciemne, nieprzejrzyste bajoro w kształcie nieregularnego owalu, z płytką strugą ginącą wśród olch i bagnistych łąk.

Po drugiej stronie rozciągał się las, którego skrajem biegła dość szeroka i rozdeptana droga. Nad wodą leżał czarny od szlamu trup kobiety.

Morderca wysłał ją w ostatnią drogę z osobliwym bagażem. Dwie połówki cegły i kawałki gruzu, włożone do torebki, miały zapewnić, że pójdzie jak kamień na dno i zatrzeć się w ten sposób ślad zbrodni.

Na mój widok z pnia ściętego drzewa podniósł się chłop o ogorzałej od słońca twarzy. Pałac leniwie papierosa obserwował jakby od niechcenia kilka czarno-białych krów, które pasły się obok.

— To pan znalazł zwłoki? — zapytałem oficjalnie.

— Ano, tak wygląda, że niby ja — przytaknął z ociąganiem i znów pociągnął papierosa.

— Jak to się stało?

— Krowy poszły pić wodę — objaśnił. Nie wydawał się specjalnie skory do zwierzeń.

— No i...? — zapytałem odrobinę zniecierpliwiony.

— Ta — machnął dłonią w kierunku jednej z krów, która uniosła łeb na dźwięk jego głosu — poszła, cholera, głębiej niż inne i wpadła w muł na dnie — powiedział, odrzucając tłący się niedopałek. Z jego twarzy odczytałem niemal pretensję do zwierzęcia o tarapaty, które to spowodowało. — Wyciągnąłem ją na brzeg — patrzę, coś ciągnie za sobą owinięte wokół racicy. Widzę — damska torba. Otwieram, a tam gruz i ceglówki. Niedobrze — myślę — nie podoba mi się to. Wziąłem długiego kija, wszedłem do wody i zacząłem macać naokoło. No i znalazłem... Tfu... — splunął głośno. — Błota tam chyba z metr na dnie.

Wcale nie zdradzał chęci powrotu nad wodę, więc poszedłem sam. Na trawie leżała kobieta w długiej, oblepionej mułem sukience, z bosymi stopami i siną, obrzmiałą twarzą, zwróconą ku słońcu. Pochyliłem się nad nią — i drgnąłem. Morderca odebrał jej życie, u woda urodę, ale nie mogłem jej nic poznać. Miałem przed sobą Ewę Hanke.

Kiedy właściwie ją poznałem? Pięc, sześć lat temu. może jeszcze wcześniej? Pewnego dnia przysłał mi ją rzecznik prasowy komendy stołecznej, zapowiadając redaktorkę, która pisuje reportaże kryminalne. I tak zaczęła się nasza znajomość. Potem przechodziła przez różne stadia, z krótkotrwałym romanssem włącznie. W myśli stały mi te wszystkie mądre i głupie dyskusje, jakie w przeszłości toczyliśmy. Teraz już nic nie było ważne.

Na drodze biegnącej obok jeziora rozciągała się istna pajęczyna śladów, w której koleiny po pojazdach przeplatały się z odciskami racie bydła i obuwia turystów. Mimo to kazałem wziąć wszystkie odlewy, jakie się tylko da zrobić.

Na trawie stały blaszane numerki, zaznaczające położenia przedmiotów. Torebka nosiła numer dwa, kawał gruzu i dwie połówki cegły, które z niej wyjęto, leżały pod trójką. Na jednej z cegieł dostrzegłem wypalony znak cegielni.

Sam pojechałem do galerii sztuki, w której pracował Filip Hanke.

Pod tą imponującą nazwą kryło się kilka pomieszczeń w amfiladzie, do których schodziło się po schodkach w dół, do sutereny poniżej poziomu ulicy. Wśród obrazów i rzeźb o abstrakcyjnych kształtach nie zauważyłem ani jednego zwiedzającego. Na pytanie o Filipa Hanke, dziewczyna ubrana w gruby bury sweter i zatopiona w lekturze książki przy stoliku w rogu, wskazała mi bez słowa, samym jedynie gestem, wąski korytarzyk, w którym ujrzałem cztery pary drzwi.

Zapukałem na chybił trafił do pierwszych i nie czekając na odpowiedź nacisnąłem klamkę. Ujrzałem mały pokój, zagracony różnymi artystycznymi przedmiotami. Wciśnięte między ten kram, stało niewielkie biurko z odsuniętym krzesłem. Na blacie leżało kilka albumów, chyba malarstwa i sztuki, obok płaskie, metalowe pudełko i na wpół zapisany arkusz papieru, na którym dostrzegłem niedużą owalną miniaturę.

Zauważyłem tylko, że przedstawia damę w kapeluszu z dużym piórem, kiedy poczułem czyjąś ciężką rękę na ramieniu. Jakiś mężczyzna bezceremonialnie odsunął mnie od drzwi.

— Pan do kogo? — zapytał.

— Szukam Filipa Hanke.

— To ja. Czego pan sobie życzy?

— Może jednak wejdziemy? — zaproponowałem. — Mam dla pana wiadomość...

Cały czas głowiłem się, jak mu ją przekazać.

— Słucham — rzekł sucho. Pokazałem legitymację i przedstawiłem się.

— Major Wanacki ze Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych.

— Coś nowego w sprawie mojej żony? — zapytał. Otworzył wreszcie swój sezam, szybkim krokiem podszedł do biurka i równie spiesznie schował miniaturę. — Słucham — powtórzył.

Zrelacjonowałem posiadane informacje. Przez cały czas nic odezwał się ani słowem.

— Gdzie ją mogę zobaczyć? — zapytał wreszcie.

— W Zakładzie Medycyny Sądowej — odrzekłem. — Musi pan zidentyfikować zwłoki.

Do zakładu, mieszczącego się w pomieszczeniach Akademii Medycznej, weszliśmy razem, ale kiedy znaleźliśmy się już przed właściwą salą, spojrział na mnie z prośbą, którą zrozumiałem. Tak jak sobie życzył, został na moment sam.

— Tak, to ona — powiedział po dłuższej chwili. — To moja żona. Kiedy będę ją mógł stąd zabrać? — zapytał niespodziewanie rzeczowo.

— Po sekcji — odparłem. — Czy czuje się pan na siłach, by złożyć teraz zeznania?

Obrzucił mnie niewidzącym spojrzeniem.

— Oczywiście — odrzekł. — Tylko czy się na coś przydam? W ubiegły piątek żona wyszła z domu, nie mówiąc, dokąd się udaje i odtąd już jej nie widziałem. W poniedziałek zawiadomiłem milicję. Nic poza

tym nie wiem. Nie znam w zasadzie żadnych kontaktów Zony — ani zawodowych, ani prywatnych — choć wiem, że miała dość rozległe znajomości. Nie mam pojęcia, kto mógł ją zamordować, i dlaczego...

Urwał i dał się zaprowadzić do samochodu, którym zawiozłem go do Pałacu Mostowskich.

Ponieważ istotnie nie miał wiele do dodania, szybko go zwolniłem.

Wkrótce potem wszedł młody funkcjonariusz o śniadej twarzy i wyglądzie Wiocha, do którego wszyscy zwracali się po prostu „panie Sylwku”. W ostatniej chwili szef włączył go w skład mojej grupy operacyjno-dochodzeniowej i właśnie on przyniósł mi formularze protokołu oględzin miejsca znalezienia zwłok, zdjęcia i plastikowy worek, wypełniony do połowy jakimiś przedmiotami.

— A niech to szlag! — zaklął, stawiając worek ciężko na podłodze. — W tym błocie nawet w kaloszach człowiek upaprał się jak świnia.

— Coś ciekawego? — zapytałem, zdając sobie sprawę z tego, że zawartość worka to plon wielogodzinnych poszukiwań mojej ekipy.

— Same rewelacje — odparł Sylwek z odcieniem lekceważenia, ale i pewnego zawodu w głosie. — Skorupki od jaj, papierki po cukierkach, jeden zgniły chodak, przerdzewiałe resztki garnka i zdezelowana sprężyna meblowa ze strzępem materiału, chyba narzuty.

— Wszystko może się przydać — powiedziałem filozoficznie i odesłałem Sylwka razem z workiem do laboratorium kryminalistycznego.

Wyłowilem z pliku zdjęć te, na których widniały odciski i odlewy opon, wykonane na drodze nie opodal jeziora. Następnie wziąłem się za protokół oględzin, z którego niewiele wynikało. Połączyłem się z Zakładem Medycyny Sądowej.

Docent Oskierko, którego poznałem natychmiast po charakterystycznym kresowym akcencie, przekazał mi wyniki sekcji.

— Została uduszona — oznajmił. — Brak typowych zmian w płucach przemawia w każdym razie za tym, że nie zginęła wskutek utonięcia. Wrzucono ją do wody już martwą.

Ledwie odłożyłem słuchawkę, gdy zameldował się oficer dyżurny z wiadomością.

— Dzwoniła jakaś kobieta — powiedział. — Przedstawiła się jako bliska znajoma Ewy Hanke. Będzie czekać za godzinę na parkingu przed restauracją „Pod Łosiem” w Izabelinie.

— To wszystko? — zapytałem, na równi zaciekawiony co rozczarowany.

— Tak. Odłożyła słuchawkę.

Nie było rady. Musiałem jechać do Izabelina.

Tuż za granicą Warszawy urwał się rząd latarni i od tej pory ciemność rozświetlały już tylko żółte światła domów przy szosie.

Parking przed restauracją „Pod Łosiem” w Izabelinie oświetlony był jednak zupełnie przyzwoicie. Nachylona jarzeniówka strzegła rzędów aut. Stało ich tu, zauważyłem, nadspodziewanie dużo jak na podmiej-

ską knajpę. Czyżby serwowano tu prócz posiłków także i innego rodzaju atrakcje? Tajemnicą poliszynela pozostawało wszak funkcjonowanie różnych zakamuflowanych burdeli pod szyldami niektórych podwarszawskich moteli i hotelików.

Nie zostawiono mi czasu na dłuższy namysł. Skoro tylko stanąłem, rozglądając się ciekawie wokół, trzasnęły jakieś drzwiczki. Z małego, jasnego fiacika, zaparkowanego w pobliżu latarni, wysiadła wysoka, szczupła kobieta w spodniach po kolana i długich botach.

Musiała mnie widać obserwować od dłuższego czasu, skoro bez chwili wahania podeszła i zapytała:

— Pan z milicji? Potwierdziłem.

— To ja dzwoniłam. Przepraszam, może wypadło to nie najlepiej, ale bałam się, że inaczej nikt nie przyjedzie. A czas nagli. Aldona Godlewska — przedstawiła się, — Prowadzę Zespół Porad Społeczno-Prawnych. Może pan słyszał?

Potrząsnąłem przecząco głową.

— Znam... To znaczy — poprawiła się — znałam Ewę Hanke od wielu lat. Pracowałyśmy razem w jednej redakcji. Później nasze drogi rozeszły się, ale nadal podtrzymywałyśmy znajomość. Mąż Ewy, Filip, zadzwonił do mnie dziś z wiadomością, że Ewa nie żyje, że została zamordowana. To prawda? — spojrzała na mnie badawczo.

— Tak. Dzisiaj rano wyłowiono jej zwłoki. Z jeziora niedaleko stąd.

Przez chwilę przetrawiała w sobie tę wiadomość. Obserwowałem ją. Chyba zbliżała się do czterdziestki, a już na pewno wyglądała na starszą od Ewy o dobrych kilka lat. Brakowało jej również żywołości Ewy. Chociaż nie była brzydka. Ze swoją bladą cerą, z twarzą usianą drobnymi piegami, z rudymi włosami skręconymi na punka, wyglądała nawet interesująco.

— A więc nie myliłam się przypuszczając, że musiała tu być — powiedziała. — Widzi pan tę tabliczkę na restauracji? Tam z boku, pod szyldem?

— Owszem — przytaknąłem.

— Na krótko przed swoim zniknięciem Ewa prosiła mnie o zapamiętanie tego właśnie adresu: Izabelin, Dębowa 3. Z tyłu, w ogrodzie, znajduje się jeszcze willa. Duży, biały budynek. Chodźmy, pokażę panu.

Minęliśmy restaurację i bramę wjazdową na podwórko, za którą znajdował się sporej wysokości mur. światło latarni biegło za nami, oświetlając rumowisko gruzu i cegieł, zaśmiecające chodnik. Coś błysnęło w mojej podświadomości. „Gruz i cegły...” — pomyślałem. Kawałek gruzu i dwie połówki cegły, znaleziono w torebce Ewy Hanke. Zaraz, jak powiedziała ta kobieta: „Ewa musiała tu być...\*\*

Przykucnąłem, rozgrzebując rumowisko.

Na połówce cegły, znalezionej w torebce Ewy Hanke, znajdował się wypalony znak cegielni. Zapaliłem latarkę, oświetliłem stertę. W tej samej chwili omal nie krzyknąłem z satysfakcji. Jest! Trzymałem w ręku kawałek cegły, na którym widniał znajomy znak.

Podniosłem głowę i zobaczyłem przed sobą jakiś samochód. Zaparkowany nic opodal, stał czerwony volkswagen golf.

— To wóz jubilera Fabisiaka — rzekła Godlewska. — Niedawno był w Warszawie, u teraz widzę, że znów tu wrócił.

— Po czym go pani poznaje?

— Po znakach rejestracyjnych.

— Czy ten Fabisiak może mieć coś wspólnego z zabójstwem Ewy Hanke?

— Moim zdaniem tak. A przynajmniej prawdopodobnie wiele wie.

Uszliśmy kawałek dalej, gdy nagle przystanąła przy wyrwie w murze, zasłoniętej deskami i cichym, nagłym szeptem powiedziała:

— Niech pan spojrzysz tutaj! To właśnie ten dom!

Ujrzałem duży, biało otynkowany budynek z tarasem na parterze. Prawie we wszystkich oknach paliły się światła i słychać było dochodzący z oddali gwar rozmów.

— Jakieś przyjęcie? — zapytałem.

— Tak też początkowo myślałam. Ale jest tu człowiek, który wygląda na goryla, na ochronę. I drugi, o którym się mówi per „szef”. Towarzystwo przechodzi prawdopodobnie z restauracji. Na jednego wołają: „Hrabia”. Widziałam także kochankę Fabisiaka. striptizerkę Mariolę. Skoro zaś stoi tu jego wóz, jest pewnie i sam Fabisiak. Na pewno nie podejrzewa, że ośmieliłam się tu wrócić. A już zwłaszcza z asystą milicyjną — dodała.

Z futerału, przytroczonego do pasa, wyciągnąłem radiotelefon, wywołałem kierowcę, pozostawionego w milicyjnym fiacie niedaleko restauracji „Pod Łosiem”.

— Potrzebuję natychmiast czterech, pięciu ludzi z operacyjnego — zażądałem — z nakazem przeszukiwania. Podaję adres...

— Już przekazuję — odparł kierowca i wyłączył się. Za chwilę usłyszałem ponownie jego głos.

— Załatwione. Tylko to może trochę potrwać.

Wiedziałem to bez niego. Spojrzałem na zegarek. Wcześniej niż za pół godziny na pewno nie uda się nikomu dotrzeć. Przez ten czas może się zdarzyć bardzo wiele.

Na razie co prawda nie działo się nic szczególnego. Z domu w ogrodzie dochodził ten sam przytłumiony gwar głosów. Niespodziewanie jednak sytuacja uległa raptownej zmianie. Pies, dotychczas zachowujący się cicho, musiał widać wyczuć naszą obecność, skoro rozszczekał się nagle na cały głos. Mimo że natychmiast poderwałem się na równe nogi i równie szybko zasunąłem deski na otwór w murze, pies nie milkł. Słyszałem, jak biega tam i z powrotem po ogrodzie wzdłuż muru.

W willi zaczął się ruch. Przyspieszyło to moją decyzję. Obrzuciłem wzrokiem Aldonę Godlewską, zastanawiając się, czy sprosta roli, którą jej przeznaczyłem.

— Proszę podejść do bramy, zadzwonić i powiedzieć, że szuka pani tego swojego znajomego jubilera w pilnej, nie cierpiącej zwłoki sprawie — powiedziałem. — I niech się pani nie daje łatwo zbyć. W razie czego proszę się upierać, że skoro stoi jego samochód, więc i on sam musi tu być. Nie może pani odejść stamtąd tak długo, dopóki jubiler nie wyjdzie. Albo dopóki ktoś nie otworzy furtki, chociażby po to, żeby panią przepędzić jak niepożądanego intruza.

— Przy okazji poszczuje mnie psem — wtrąciła.

— Tego też nie wykluczam — odparłem. Powinna być rzeczywiście świadoma wszystkich niebezpieczeństw, jakie jej mogły grozić. — Chodzi jednak o to, ażeby furka choć na moment pozostała otwarta. Ten właśnie moment chcę wykorzystać. Rozumie pani? Przy murze waruje pies, brama i furka na pewno są zamknięte. Założmy, że to ja, a nie pani, zacznę się tam dobijać i straszyć milicją. Zanim mi ktoś otworzy, upłynie tyle czasu, że żadna milicja nie będzie już potrzebna. A nic mam na razie ludzi, żeby skutecznie obstawić wszystkie wyjścia.

— No dobrze, zgadzam się — oświadczyła. — Proszę mi życzyć powodzenia.

Nie oglądając się przeszła wzdłuż muru i skręciła w kierunku głównego wyjścia.

Usłyszałem dzwonek przy furtce, szczekanie psa, ruch w domu i czyjś niewyraźny głos, dochodzący, jak mi się zdawało, z domofonu. Znowu domofon, jeszcze raz Godlewska. Dialog zaczynał się niepokojąco przedłużać. Kiedy zwątpiłem, czy doprowadzi do oczekiwanego rezultatu, drzwi się uchyliły. W smudze światła ujrzałem ciemną sylwetkę mężczyzny, który zmierzał w kierunku furtki.

Teraz! — zdecydowałem. Jednym susem znalazłem się przy furtce. Zastawiając ją nogą, tak, ażeby już się nie dała ponownie zatrzasnąć, odepchnąłem zaskoczonego mężczyznę, umknąłem nadbiegającemu wilczurowi i wpadłem do willi.

— Milicja! Nie ruszać się! — rozkazałem. Zaskoczenie było całkowite. Znajdowałem się w dużym, przestronnym hallu o Ścianach wykładanych ciemną boazerią i podłodze z czerwonej błyszczącej terakoty. W jedną ze ścian wbudowany został elektryczny kominek, obok znajdował się półokrągły bufet. Na wysokich hockerach siedziało kilka osób, obecnie znieruchomiałych. W przeciwległym rogu stały dwa stoliki, przy których paru mężczyzn najwyraźniej grało przed chwilą w kar-, ty. Część z nich trzymała je jeszcze, zastygłe w dłoniach, część zdążyła rzucić na stół, gdzie leżały, pomieszane w nieładzie ze stosem banknotów'.

Na schodach prowadzących na piętro ukazał się gładko wygolony mężczyzna o wysokim czole i głęboko osadzonych oczach.

— O co chodzi? — zapytał z wysoka.

Z głębokiego klubowego fotela, czerwonego jak i podłoga, podniósł się rosły mężczyzna, którego przedtem nie zauważyłem.

— Milicja — odparłem i odprowadzony spojrzeniami wielu par oczu zacząłem się powoli wspinać na schody. — Mam nadzieję, że piętro urządzone jest równie gustownie, jak parter...

Gładko wygolony mężczyzna zagroził mi drogę.

— Nadzieję może mieć każdy głupi — rzekł chłodno. — Jaki prawem milicja nachodzi mnie w moim własnym mieszkaniu?

Z piętra dochodził gorączkowy ruch, jakby coś przestawiano, przesuwano, składano. Zrozumiałem, że musiało się tam znajdować zapasowe wyjście. Jeszcze chwila, a szansa, jaką mi dał moment zaskoczenia, zostanie stracona.

— Poproszę o okazanie legitymacji — zażądał tymczasem mężczyzna. Miał do tego oczywiście pełne prawo, chociaż na milę było widać, że gra na zwłokę.

Spełniłem jego życzenie. Obejrzał legitymację starannie, a następnie zapytał:

— Czy ma pan nakaz rewizji?

Nie miałem. Przeklinając w duchu własną naiwność, która pozwoliła mi uwierzyć, że uda się akcja w pojedynkę, zacząłem udawać, że szukam nakazu po kieszeniach.

Mężczyzna, nadal stojący u szczytu schodów, skrzywił swe wąskie, blade wargi w sceptyczno-ironicznym uśmiechu.

— Proszę się tak nie spieszyć. Mamy czas, mogę poczekać.

— Szeffie, załatwić? — wtrącił się naraz goryl. — Może to wcale nie glina, a tylko się za takiego podaje?

Przez twarz człowieka, nazwanego szefem, przebiegł cień namysłu. Podniósł w górę brwi i prawie niedostrzegalnie, jak mi się wydawało, mrugnął okiem.

W mojej podświadomości zabrzmiał sygnał alarmowy. Błyskawicznie wykonałem obrót na pięcie, schylając równocześnie głowę i unikając w ten sposób ciosu pięścią. Napastnik zachwiał się, tracąc na moment równowagę. Wykorzystałem to, chwytając go w pasie i usiłując powalić na podłogę. Był jednak nadspodziewanie silny, umięśniony i wyćwiczony. Nie mogłem się z nim uporać. Człowiek zwany szefem zniknął tymczasem gdzieś w czeluściach piętrowości. Teraz, gdy już rozszyfrowałem jego taktykę, wiedziałem, że od początku chodzi mu tylko o jedno; o to, ażeby maksymalnie opóźnić moje dotarcie na piętro.

Kątem oka ujrzałem, jak reszta towarzystwa, dotąd znieruchomiała na swoich miejscach, zaczyna się wymykać z hallu. Kulturysta zapewne też to spostrzegł, skoro nagle wywinął się niczym piskorz i zanim zdążyłem się zorientować w jego prawdziwych zamiarach, pobiegł w kierunku wyjścia. W tym momencie usłyszałem odgłos hamującego samochodu, pisk opon i głosy:

— Stać! Milicja!

## 2

---

— No, no — powiedziałem, wchodząc do obszernego pokoju, który znajdował się na pierwszym piętrze, dokładnie tuż nad hallem. — Widzę, że mamy tu prawdziwe Monte Carlo.

Oczywiście przesadziłem. Do kasyna w Monte Carlo miało się to jak Włochy pod Warszawą do Italii. Po prostu było to jedno z likwidowanych od czasu do czasu nielegalnych kasyn gry, prymitywne, jak zwykle różne chałupnicze namiastki.

Dostarczało jednak prawdopodobnie zbliżonych emocji. Środek pomieszczenia zajmował prostokątny stół, otoczony podsuwany-mi krzesłami, na którego blacie leżała nieduża ruletka. Wyglądało na to, że nie zdążono już jej wynieść bocznym zapasowym wyjściem, tak jak wynoszono kasę pełną pieniędzy i żetonów. Kilka takich żetonów, najwyraźniej zgubionych w pośpiechu, leżało na podłodze. Pozamykane okna, zasłonięte grubymi kotarami, sprawiały, że było tu duszno pomimo wentylatora wirującego u sufitu. Wszędzie



snuły się smugi dymu z papierosów, na podręcznym ni to kredensiku ni barku stały popielniczki pełne niedopałków i szklanki z nie dopitą kawą.

— Sporo pan na tym wyciąga? — zapytałem ulizanego mężczyznę o bladej twarzy, jaką miewają ludzie spędzający długie godziny w zamkniętych pomieszczeniach.

Nie uznał za stosowne odpowiedzieć. Zachowywał stoicki spokój i udawał obojętność. Zapewne prowadził listę stałych bywalców kasyna. Czy jednak którykolwiek z nich mógł mieć coś wspólnego z zabójstwem Ewy Hanke?

— Ale swoich gości to chyba pan zna? — zagadnąłem, nie zrażony jego milczeniem.

Zacisnął wargi w cienką poziomą kreskę. Był uparty, lecz i prawdopodobnie świadom faktu, że milczenie się opłaca.

— Jedna z tych osób — ostrzegłem — może być zamieszana w sprawę morderstwa.

Nie zrobiło to na nim specjalnego wrażenia.

— To wasza sprawa, nie moja — odparł lakonicznie.

Dałem znak eskortującemu go funkcjonariuszowi. Zszedłem za nimi na dół, do znanego mi już hallu o czerwonej posadzce z terakoty.

Skupiona przy barku, stała tu grupa osób, wśród których dostrzegłem dwóch obcokrajowców o smagłych twarzach i czarnych obfitych wąsach. Zobaczyłem również podstarzałego szulera w muszce w grochy, znanego mi pod pseudonimem „Hrabia”.

— Państwo wiedzą, że nielegalne gry hazardowe są w Polsce zabronione — oznajmiłem. — Poproszę o dowody osobiste. Każdy będzie musiał także złożyć zeznanie.

Z grupy wysunął się przystojny mężczyzna w średnim wieku, o wyglądzie playboya, w dobrze skrojonych jasnych spodniach i krótkiej skórzanej bluzie.

— Czy mogę prosić o chwilę rozmowy na osobności?

Zgodziłem się. Pozostawiając w hallu dwóch funkcjonariuszy, wyszedłem na taras i zapytałem:

— O co chodzi?

Mężczyzna chrząknął z zakłopotaniem. Z daleka wyglądał na młodszego. Z bliska ujrzałem się zmarszczek i lekko podpuchnięte oczy. Figurę miał jednak nienaganną.

— Widzi pan, zależałoby mi... To znaczy — szybko się poprawił — nam wszystkim tutaj zależałoby na jak najdalej posuniętej dyskrecji. Nie wiem, czy pan rozumie...

Czy rozumiałem? Aż za dobrze!

— Więc ja na przykład... Co tu dużo mówić... I tak się wszystkiego dowiedzie... Jestem lekarzem, pracuję w szpitalu, nieważne w którym. Wkrótce mam zostać ordynatorem. Jeżeli jednak wyjdzie na jaw moja bytność tutaj...

Nie musiał kończyć, pojąłem przecież, o co mu chodzi. Mimo to uznał za stosowne szukanie usprawiedliwienia.

— Człowiek nie może mieć u nas żadnych słabostek w życiu prywatnym. Jakby to miało jakikolwiek wpływ na kwalifikacje zawodowe. No cóż, ja tego nie zmienię. Powiem panu wszystko, co wiem, tylko proszę o zachowanie tajemnicy.

— Pewnych spraw oczywiście nie można utrzymać w tajemnicy — powiedziałem enigmatycznie — jednak i od pańskiej postawy na pewno będzie wiele zależeć.

Mimo woli zabrzmiało to jak obietnica.

Tak też musiał to widać odczytać, skoro w jego brązowych oczach pojawiła się wdzięczność.

Wróciłem do hallu. Spisując po kolei nazwiska natrafiłem wreszcie na poszukiwane.

— Jan Fabisiak? — upewniłem się.

Postawny mężczyzna o mocno zarysowanych, ściągniętych teraz gniewnie brwiach i szpakowatych, ostrzyżonych krótko włosach, bąknął coś pod nosem. Obok, trzymając swego towarzysza pod ramię, stała młoda, wyzywająco umalowana kobieta.

— A pani dowód? — zagadnąłem. Przez dłuższą chwilę szukała w torebce.

Wreszcie znalazła.

— Maria Partesa — przeczytałem. — Czy to pani występuje jako striptizerka Mariola?

— Powiedzmy, że ja. Czy to coś złego? — zapytała zaczepnie.

— Złego? Skądże! Zdawało mi się tylko, że wieczorami pani występuje.

— Dziś mam wolne — oznajmiła.

— Doskonale. Będzie pani zatem miała dość dużo czasu, by złożyć zeznania — powiedziałem.

W Pałacu Mostowskich było już prawie pusto. Światło świeciło się w nielicznych tylko oknach. Kroki w korytarzu, w którym wisiała stale la sama, charakterystyczna woń instytucji, odwiedzanej przez wielu ludzi, brzmiały jak przemarsz oddziału wojska o świcie.

Otworzyłem drzwi z klucza, nacisnąłem wyłącznik i omiotłem oczami własny pokój. Po luksusach Izabelina wydał mi się nieprzyjemnie mały i marnie umeblowany.

Przepuściłem Fabisiaka przed sobą, wskazałem mu krzesło i rozłożyłem na biurku plik zdjęć Ewy Hanke.

— Czy zna pan tę kobietę? — zapytałem. Fabisiak spojrzął na fotografie.

— Jeżeli to można nazwać znajomością... Zapaliłem lampę na biurku. Przymknął powieki przed światłem,

— W jakich okolicznościach ją pan poznał? W willi w Izabelinie, przy ruletce?

— Nie — odparł. — W moim zakładzie na Mokotowie. Przyniosła pierścionek do naprawy, chciała, żebym wstawił oczko.

— I tylko to?

— Kiedy przyszła po odbiór, zapytała, czy nie interesuje mnie czasem kupno cennej miniatury?

— Co jej pan odpowiedział? Zbiera pan rzeczywiście takie rzeczy?

— Lubię ładne starocie — odrzekł.

— Co się wydarzyło potem? Przyniosła miniaturę?

— Tylko fachowy opis, który mi odczytała. Miała to być osiemnastowieczna miniatura francuska, malowana na kości słoniowej, przedstawiająca kobietę w kapeluszu ze strusim piórem, prawdopodobnie którąś z ówczesnych dworskich metres.

— Ciekawe — stwierdziłem i nie skłamałem. — Niech pan mówi dalej.

— Powiedziałem, że opis to mało. Muszę sam obejrzeć. Potrzebna będzie również ekspertyza „Desy” lub wiarygodnego eksperta. Rzecz jasna, z wyceną. Nie mam zwyczaju kupowania kota w worku. Podałem jej numer telefonu, żeby się ze mną skontaktowała.

— Zadzwoiła?

— Telefonowała kilka razy, zawsze pod pretekstem, że ekspertyza się przeciąga.

— Dlaczego użył pan określenia: „pod pretekstem”?

— Jeżeli kobieta bez żenady sugeruje, że moglibyśmy się spotkać prywatnie, nie tylko w sprawie transakcji z miniaturą, to jak to rozumieć?

— Skorzystał pan z zaproszenia? Przez chwilę się wahał.

— Nie — odrzekł.

— Nie w pana guście? Pokręcił głową.

— Nie była najgorsza, chociaż, między nami mówiąc, cokolwiek już zużyta. Ale zacząłem coś podejrzewać.

Chrząknął, jakby mu zaschło w gardle. Otworzyłem jedną z dwóch butelek „Mazowszanki”, stojących na stoliku obok biurka. Nalałem jedną szklanekę jemu. drugą sobie.

— Widzi pan — podjął — mimo toczącego się już od dłuższego czasu procesu rozwodowego nadal mieszkam z żoną. Żona wzięła adwokata i ten robi ze mnie w sądzie potwora. Któregoś dnia wygadała się podczas jakiejś kolejnej awantury, że udało jej się znaleźć kogoś, kto dostarczy sądowi przekonujących dowodów przeciwko mnie. Początkowo puściłem te słowa mimo uszu, jako jeszcze jedną z całego zestawu rozmaitych gróźb i próśb. Potem zacząłem się zastanawiać i kojarzyć pewne takty. Doszedłem do wniosku, że wiem, o kogo chodzi... Podniosłem zdjęcie Ewy Hanke.

— Pomyślał pan, że wszystko zostało wcześniej ukartowane? I że te wszystkie wizyty, telefony, a może i nawet jakieś oznaki śledzenia pana, mają służyć w istocie rzeczy zdobyciu dowodów pana winy dla sądu?

— Właśnie. Ale udawałem, że nie wiem, co jest grane. Kiedy otrzymałem wiadomość, że ekspertyza miniatury będzie wkrótce gotowa, umówiłem się z Ewą o wpół do dwunastej w garderobie mojej znajomej, striptizerki Marioli, w restauracji „Kongresowa”, rzekomo celem ostatecznego dogadania transakcji.

— Dlaczego akurat w „Kongresowej”?

— Mariola miała tam występować po raz pierwszy.

— Czy bardzo panu zależało na tym, ażeby pańska przyjaciółka była również przy tym obecna? Czy właśnie wówczas zamierzał pan wyjawić swoje podejrzenia w stosunku do Ewy Hanke?

— Coś w tym rodzaju. Jednakże Mariola spóźniła się, a mnie zabrakło cierpliwości i nerwów. Właściwie wszystko trwało krótko—Gdy przyszła Ewa, zapytałem, czy ma ze sobą miniaturę. Zaczęła kręcić. Ze niby ekspertyza gotowa, ale ona sama waha się, czy sprzedawać. Uważała, że jeżeli jeszcze trochę poczeka, dzieła sztuki na pewno pójdą w cenie. Poza tym jest jeszcze jeden reflektant, z którym umówiła się na poniedziałek na wypadek, gdyby nasza transakcja nie doszła do skutku. Z każdą chwilą stawało się coraz bardziej widoczne, że miniatura to pretekst, a Ewa czeka w istocie rzeczy na pojawienie się Marioli. Nie wiem, co planowała. Może sfotografować nas razem?

— To wciąż tylko podejrzenia.

— Może, ale miałem wszelkie podstawy, by tak przypuszczać. Kiedy kolejny raz zerknęła na zegarek, straciłem cierpliwość. Krzyknąłem: „Sprzedaje mi pani wreszcie tę miniaturę czy nie? Bo jeśli tak. to chcę ją natychmiast zobaczyć razem z ekspertyzą i wyceną! A jeśli nie — proszę się stąd wynosić, i to już!” Wstała z krzesła i zaczęła się cofać w kierunku drzwi. Zauważyłem ten manewr. przytrzymałem drzwi ręką i wygarnąłem wszystko, co myślę — o niej samej i o takich metodach!

— Jak to przyjęła?

— Nawet nie protestowała. Wyglądała na zaskoczoną.

— Czym się to wszystko skończyło?

— Po prostu wyrzuciłem ją za drzwi!

— Czy spotkał ją pan jeszcze potem?

— Tak, w „Kongresowej”, przelotnie. Siedziała przy stoliku z jakimś towarzystwem. Zaręczam panu, że nie wyglądała na bardzo poszkodowaną. Później już jej nie widziałem.

Zmieniłem temat, zapytałem o kasyno gry w Izabelinie. Interesowało mnie, kto w nim bywał i jak często grano. A także od kogo Ewa Hanke mogła się dowiedzieć o jego istnieniu. Fabisiak wyjaśnił, że grano z reguły dwa, trzy razy w tygodniu. Do lokalu kasyna wchodziło się przez restaurację, wewnętrznym podwórkiem, z którego prowadziła furka do ogrodu.

— Czy pańska żona bywała tam również?

— Zdaje się, że zabrałem ją kilka razy ze sobą. Raz nawet wygrała w ruletkę jakąś okrągłą sumkę.

— Czy mogła komuś zdradzić adres? Zastanowił się.

— Jeżeli akurat pamiętała, może i tak... Ale czy wtajemniczyła Ewę Hanke, oczywiście nie wiedział.

Przesłuchanie striptizerki odłożyłem na następny dzień. Wstał on pochmurny, niebo pokrywały bure chmury, siąpił deszcz.

Mariola, którą wraz z całym towarzystwem z nielegalnego kasyna poleciłem przetrzymać 48 godzin, aż do zakończenia przesłuchań, przybladła, jej twarz zrobiła się szara.

Nastawiłem wodę na herbatę. Jak gdyby mimochodem zagadnąłem Mariolę, ale wcale nie o nielegalne kasyno, lecz o Ewę.

Poznała ją na fotografiach natychmiast.

— Tak, widziałam ją w zeszłym tygodniu, na parkingu przed restauracją „Pod Łosiem”, a następnie w „Kongresowej”.

Podąłem jej szklanek z herbatą.

— Jest pani pewna?

— Najzupełniej — odpowiedziała. — Mam dobrą pamięć do twarzy.

— Kiedy to było? Przypomina sobie pani?

— Zdaje się, że w środę... Około pierwszej w nocy. Wychodziłam z restauracji. Wtedy ją zobaczyłam.

— A pani znajomy, Fabisiak? Też ją tam widział?

— Nie mam pojęcia. Nic zwróciłam na to uwagi. Mógł widzieć, w końcu wychodziliśmy razem...

— Była sama?

— Nie przysięgnę. Zauważyłam, że stała obok samochodu. Wydawało mi się, że rozmawia z kimś, kto siedzi w wozie. Ale mogę się mylić. Ten samochód zresztą zaraz odjechał.

— Zna się pani na markach samochodów? Mogłaby pani bliżej określić ten wóz?

— Polski fiat. Kolor jakiś jasny, bez... biały, kremowy. Coś w tym rodzaju.

— A spotkanie w „Kongresowej”?

— Ta pani podeszła do mnie po występie, przedstawiła się jako dziennikarka, która chce pisać o strip-tizie. Chciała się ze mną umówić na dłuższą rozmowę. Miałyśmy się spotkać w sobotę o szóstej po południu w kawiarni hotelu „Europejskiego”. Ale nie przyszła.

— Czy Fabisiak wiedział o tym spotkaniu?

— Powiedziałam, że jestem umówiona z pewną redaktorką na wywiad. Zaczął się dopytywać, jak wygląda. Opisałam mu ją dość dokładnie i stwierdziłam, że widziałam ją niedawno w Izabelinie, na parkingu przed restauracją „Pod Łosiem”.

— Jak na to zareagował?

— Trudno powiedzieć. Cały wieczór był nie w humorze. Zresztą nie zostaliśmy długo w „Kongresowej”. Odwiózł mnie do domu, pożegnaliśmy się. To wszystko.

— Nie wie pani, co robił później?

— Nigdy go o to nie pytam. Nie jestem jego żoną! — powiedziała nieledwie z oburzeniem.

Po Marioli przesłuchiwałem kilku następnych bywalców nielegalnego kasyna gry w Izabelinie. A także jego właściciela i organizatora — owego ulizanego mężczyznę o bladej twarzy, którego tytułowano\* tam szefem. Zajął mi to czas prawie do wieczora, ale nie posunęło niestety śledztwa w sprawie zabójstwa Ewy

Hanke. Daleko bardziej od szczegółów działalności nielegalnego kasyna gry interesowali mnie jego goście. Tutaj jednak wszyscy byli dziwnie powściągliwi. Słuchając ich zeznań można by odnieść wrażenie, że ludzi zatrzymanych w kasynie zgromadził jedynie jakiś osobliwy przypadek i że zetknęli się wówczas ze sobą po raz pierwszy.

Wyjątek stanowił jedynie ów lekarz, który obawiał się o swój awans na stanowisko ordynatora i miał nadzieję, że jego szczerłość zostanie odpowiednio doceniona. Choć bywał w kasynie, jak się od razu zastrzegł, tylko sporadycznie i nieregularnie, znał trochę ludzi. Co prawda jedynie nielicznych umiał wymienić z nazwiska — większość z przydomków, czasem z zawodów, z wyglądu lub charakterystycznych cech. Nie byłoby jednak żadnej przesady w stwierdzeniu, że przez willę w Izabelinie przewijało się osobliwe panoptikum ludzi najróżniejszych środowisk, których łączyły żyłka hazardu i posiadanie pieniędzy.

Kończyłem właśnie sporządzanie listy bywalców kasyna, kiedy odezwał się telefon i po krótkiej chwili rozmawiałem już z Aldoną Godlewską.

Sprawiła wrażenie mocno zdenerwowanej. Więcej — w osobliwy sposób podnieconej. Dzwoniła z zespołu, domagając się, abym natychmiast tam przyjechał. Mówiła w sposób chaotyczny, tak, że trudno było nawet miejscami zorientować się, o co chodzi.

— Znalazłam miniaturę... Tak, tutaj, w zespole, jak pan przyjedzie, wskażę, gdzie... Była owinięta w chusteczkę. W moją własną chusteczkę z monogramem...

— W pani chusteczkę? — zapytałem, nie kryjąc zdziwienia.

— Tak, tak! — wykrzyknęła. — Dałam Ewie tę chusteczkę w „Kongresowej”, żeby sobie wytarła twarz. Czy pan rozumie, co to znaczy? Ewa nie miała kluczy do zespołu. W żaden więc sposób nie mogła tu przynieść miniatury. Mógł to uczynić tylko jej morderca. Ktoś, kto wyjął miniaturę z torebki, owinał w znajdującą się tam chusteczkę i ukrył w zespole. Ten ktoś albo ma klucze do naszego lokalu, albo był tu i wykorzystał jakąś sprzyjającą okazję i ukrył miniaturę. A teraz w każdej chwili może przyjść znowu — żeby ją zabrać! Boję się! Niech pan przyjeżdża jak najszybciej!

Z każdą chwilą była coraz bliższa hysterii. Obiecałem, że już jadę.

## 3

---

Zespół Porad Społeczno-Prawnych odnalazłem bez większego trudu w oficynie kamienicy na ulicy Świerczewskiego. Nacisnąłem guzik dzwonka przy drzwiach na parterze.

Odpowiedziała mi cisza, „To niemożliwe” — pomyślałem, patrząc na zegarek. Dochodziła siódma. Rozmawiałem z Godlewską zaledwie przed półgodziną. Nacisnąłem ponownie dzwonek. Z przeciwka wyjrzała kobieta w lokówkach. Obrzuciła mnie wzrokiem pełnym ciekawości i zniknęła tak samo szybko, jak się pojawiła.

Wyszedłem na podwórko. Było to typowe przedwojenne podwórko, otoczone ze wszystkich stron ścianami. Wiodła do niego brama, przez którą właśnie wtaczał się majestatycznie duży, biały fiat.

Zespół zajmował pomieszczenia na parterze i stosunkowo łatwo ustaliłem, które należą do niego okna. We wszystkich, mimo że jeszcze nie nadszedł zmierzch, paliło się światło.

Wspiąłem się na palce i mocno zastukałem w zamkniętą szybę. Bez rezultatu.

Obejrzałem się. Biały fiat, który dopiero co wjeżdżał na podwórko, niespodziewanie gdzieś zniknął.

Wszystkie okna były zakratowane. Uchwyciwszy się metalowych prętów podciągnąłem się wysoko i zajrzałem do środka. Ujrzałem pokój z kilkoma biurkami i dużym, czarnym fotelem.

Obok fotela leżała rozbita butelka. Światło załamywało się w odłamkach szkła. Dłoń, która zwieszała się nad nimi, wyglądała lak, jak gdyby chciała wszystkie te okruchy pieczołowicie pozbierać, lecz nagle zabrakło jej sił.

Zanim zdążyłem ochłonąć, czyjaś silna ręka chwyciła mnie z tyłu za sweter, szarpnęła i oderwała od okna.

— Czego się tu szuka? — powiedział gruby, zachrypnięty głos.

Dałem się złapać jak początkujący gówniarz. Odwrócony brutalnie, stanąłem twarzą w twarz z osobnikiem o wyglądzie atlety, we flanelowej koszuli w kratę.

— Milicja — oznajmiłem krótko. Ubawiło go to.

— Ha, ha! — roześmiał się w głos. — Wciskaj ten bajer komuś innemu! Milicję to ja ci tu zaraz sprowadzę! Odechce ci się, gnoju, obrabiania cudzych mieszkań! Zawsze mówię, że takich jak ty, powinno się wieszać publicznie dla postrachu.

— Żarty na bok — powiedziałem poważnie. — Popatrz przez okno, a sam zobaczysz. Wydarzył się wypadek. Potrzebna mi będzie pomoc do wyważenia drzwi.

Obserwując mnie nadal badawczo wspiął się na palce i zajrzał do środka.

— Po co wywazać — zaproponował pojednawczo. — Ślusarz jestem, zobaczę, co się da zrobić.

Zniknął w klatce schodowej naprzeciwko. W chwilę później pojawił się z torbą pełną narzędzi, którymi zaczął majstrować przy drzwiach.

Wkrótce stanęły otworem. Wbiegłem do środka. Wszystkie światła paliły się nadal. Poczułem przenikliwy zapach alkoholu. Na krytym czarnym plastikiem fotelu, z głową zwisającą na piersi, z ręką opuszczoną w dół, siedziała Aldona Godlewska.

Przykucnąłem obok, badając puls. Ślusarz zatrzymał się na wszelki wypadek w drzwiach.

— Niech pan zadzwoni po pogotowie — zakomenderowałem.

Oczekując na przybycie karetki zacząłem się rozglądać. Obok rozbitej butelki widniała sporej wielkości plama. Pochyliłem się, powąchałem. Nie mogło być żadnej wątpliwości — miałem do czynienia z alkoholem. Nic opodal leżał kieliszek z resztkami płynu. Trucizna? — przemknęło mi przez głowę. A może jakiś silny środek nasenny?

Podniosłem się. Wśród skoroszytów i teczek, zajmujących cały blat biurka, nie znalazłem niczego godnego uwagi. Wysunąłem szufladę. Na samym wierzchu, jakby specjalnie dla mnie przygotowana, leżała szara teczka...

Wewnątrz znajdowały się kartki zapisane na maszynie. Przeczytałem początek: *Mikołaj zobaczył ją pierwszy. Szła przez podwórko. ...*

W tym momencie usłyszałem sygnał karetki, głosy lekarzy i sanitariusza, którzy weszli do pokoju.

*...Kiedy się ocknęłam, byłam w pokoju sama. Jedyne z biurka zwisała słuchawka, która wypadła mi z ręki. Bez przerwy odzywał się w niej przeciągły sygnał.*

Przeczytałem ostatnie zdanie, odsunąłem na bok maszynopis, zabraną z zespołu i przysunąłem sobie szklankę z herbatą. Była zimna, mętna od długiego stania i niesłodka. Spojrzałem na zegarek. Dochodziła druga w nocy.

Mimo to postanowiłem pojechać do szpitala. Zaniósłem pustą szklankę do kuchni, starając się stapać jak najciszej. Moja żona Kamila dawno już spała z włosami rozrzuconymi na poduszce, z ręką podłożoną pod głowę. Zajrzałem do pokoju córki. Spała również. Z tapczanu, nad którym pozawieszała sobie fotografie różnych młodzieżowych idoli piosenki, dochodził równy, głęboki oddech. Napisałem do Kamili krótką kartkę i zszedłem na dół uruchomić wóz. Jadąc do szpitala przez puste, mokre, błyszczące od deszczu ulice, zastanawiałem się, kiedy Godlewska zaczęła robić swoje zapiski. Prawdopodobnie musiała je prowadzić systematycznie już od dość dawna. Może jako coś w rodzaju pamiętnika? Albo traktując to jako namiastkę dziennikarstwa, od którego została odsunięta? W każdym razie wiele faktów i okoliczności zyskiwało nowe oświetlenie. Jeszcze bardziej jednak interesowali mnie ludzie, a zwłaszcza ich plastyczne charakterystyki, Właściwie każda z osób, opisywanych przez Godlewską, miała dość okazji, by ukryć miniaturę w zespole. Łukasz Chmielewski, Mikołaj, sama Godlewska — każde z nich miało klucze. Filip Hanke, Mieczysław Chara-muszko i złotnik Fabisiak także byli w zespole, gdzie zostawali przez jakiś czas sami. Filip czuł się zagrożony przez Ewę. Charamuszko od dłuższego czasu chciał zdobyć miniaturę. Fabisiak uważał, że Ewa go śledzi. Mikołaja, mężczyznę brzydkiego i kalekiego, z kompleksami na punkcie kobiet, Ewa odtrącała wyśmiewała. Łukasz Chmielewski był ostatnim, który widział ją żywą i rozstał się z nią w dość osobliwych okolicznościach.

Jednakże trop wiódł i do nielegalnego kasyna gry. Ewa znała len adres, striptizerka Mariola widziała ją na parkingu przed restauracją „Pod Łosiem'1. Kawałki cegły, identyczne z tymi, którymi obciążono zwłoki, leżały na rumowisku gruzu w pobliżu willi, w której funkcjonowało w Izabelinie nielegalne kasyno gry.

Bagniste jezioro, gdzie utopiono ciało Ewy, znajdowało się zaledwie kilka kilometrów od Izabelina. Nie było tu żadnego dojazdu. Sprawca musiał więc albo zabić Ewę Hanke w pobliżu jeziora, albo też przetransportować jakoś jej ciało. Potrzebny był mu więc samochód. Wóz z całą pewnością pozostawił ślady opon. A wszystkie możliwe ślady zostały zabezpieczone. Zdjęto odlewy gipsowe. Tylko który z nich był tym właściwym?

Przypomniałem sobie samochód — dużego, jasnego fiata, który striptizerka Mariola widziała na parkingu restauracji „Pod Łosiem". Niespodziewanie skojarzył mi się on z białym fiatem, który wjeżdżał na podwórko w momencie, gdy zaglądałem przez okno do Zespołu Porad Społeczno-Prawnych. Czy mógł to być ten sam wóz?

Zamiast udać się wprost do szpitala, rozmyśliłem się i zajechałem przed Pałac Mostowskich. Wziąłem klucz od pokoju i tam napisałem kartkę do Sylwka, żeby zdobył odciski opon wszystkich interesujących mnie samochodów. Wyliczyłem kolejno nazwiska, włożyłem kartkę do koperty, zaadresowałem do Sylwka i zostawiłem u oficera dyżurnego.



Sam skręciłem z ulicy Nowotki w Trasę W-Z, przejechałem po prawie pustym o tej porze moście i zatrzymałem się na półkolistym podjeździe przed szpitalem, W izbie przyjęć, przesiąkniętej zapachem środków dezynfekcyjnych, dowiedziałem się, że Aldona Godlewska leży na neurochirurgii.

Czekałem dość długo. Wreszcie wyszedł do mnie lekarz w zielonym kittu i czepku na głowie, sądząc z wyglądu nieludzko zmordowany.

— Nie zajmę panu dużo czasu — zapowiedziałem, obserwując, jak ciężko siada na kanapce w dyżurce. — Przyszedłem tylko dowiedzieć się, jak się czuje Aldona Godlewska, pacjentka przywieziona tu przez pogotowie dziś wieczorem. Lekarz rzucił mi spojrzenie z ukosa.

— Takie to pilne? — zapytał z wymówką w głosie. — Jest na intensywnej terapii.

— Tak z nią niedobrze?

— Trudno powiedzieć: źle, dobrze. Wszystko zależy od tego, co dalej. Urazy mózgu bywają podstępne. Te zwłaszcza, gdzie mamy do czynienia z krwiami podoponowymi. Często objawy narastają stopniowo, nieraz przez szereg godzin od chwili doznania urazu. To właśnie jest najniebezpieczniejsze. Po pewnym okresie normalnego samopoczucia stan chorego gwałtownie się pogarsza i tylko natychmiastowa operacja może uratować życie.

— Tak było właśnie tutaj? Lekarz przetarł dłonią czoło.

— Tak, doznała urazu czaszki, a sądząc ze stanu obrażeń stało się to co najmniej kilkanaście godzin temu.

Przypomniałem sobie notatki Godlewskiej. „A więc — pomyślałem — w Izabelinie, wtedy, kiedy przez szparę w murze obserwowała willę w ogrodzie. I kiedy to podobno jedna z obluzowanych belek spadła jej na głowę. Ale czy była to tylko złośliwość przedmiotu czy umyślne działanie człowieka?”

— Jak się teraz czuje? — zapytałem. Lekarz wzruszył ramionami.

— Jak po operacji. Myślę jednak, że wszystko będzie dobrze. Krwiak był stosunkowo niewielki i ograniczony. Udało się go usunąć i podwiązać tętnicę. Miała sporo szczęścia w tym nieszczęściu. To pan ją znalazł?

Potwierdziłem.

— Gdyby poleżała nieprzytomna jeszcze parę godzin, nawet najlepszy chirurg pewnie już by jej nie pomógł.

— Kiedy będzie można z nią porozmawiać?

Rozległo się pukanie i biały pielęgniarzski czepak zajrzał do środka.

— Panie doktorze, prosimy na operacyjną. Wszystko gotowe...

Lekarz podniósł się.

— Może za parę dni. Proszę pozostawać w kontakcie telefonicznym — rzekł już prawie w drzwiach;

Wróciłem tą samą drogą, którą przyszedłem i znalazłem się znów przed szpitalem. Czuję się cały przesiąknięty zapachem, który tkwił wszędzie wewnątrz murów i który zabrałem ze sobą do samochodu.

Kiedy wjeżdżałem na most, zauważyłem, że zaczyna się rozwidniać.

Wprowadziłem wóz na znajome podwórko między oficynami. Po odjeździe karetki pogotowia sam zamknąłem zespół — kluczami, które znalazłem na biurku Aldony Godlewskiej. Obecnie wyjąłem je z kieszeni i już chciałem użyć, gdy nagle zza drzwi dobiegł jakiś szmer. Spojrzałem niżej i zobaczyłem nikłą, podłużną smugę światła, rysującą się między drzwiami a progiem. A przecież mógłbym przysiąc, że wychodząc wszystko pogasiłem.

Szmer powtórzył się. Dochodził skądś z bliska, prawdopodobnie z przedpokoju. Nie było co dłużej zwlekać. Ktoś, kto znajdował się w środku, miał — z powodu zakratowanych okien — tylko jedno wyjście: drzwiami. Nacisnąłem dzwonek, pewien, że jego przenikliwy dźwięk zagłuszy inne odgłosy. Nic odrywając jednej ręki od przycisku, drugą najszybciej jak tylko mogłem włożyłem klucz do zamka i nacisnąłem. Drzwi ustąpiły, wpadłem z impetem do wnętrza.

Naprzeciw mnie z wyrazem osłupienia na twarzy stał mężczyzna bez jednej nogi, z nogawką zawiniętą do kolana. Najdziwniejsza była jednak jego poza. Mężczyzna ów stał mianowicie na stoliku, wspierając się na wysokim, drewnianym szczudle. Nic dziwnego więc, że nie zareagował odpowiednio szybko na dzwonek, i że również obecnie niełatwo przychodziło mu zejść.

Domyśliłem się, że mam przed sobą pracownika zespołu, Mikołaja, który swoją obecność tutaj mógł wytłumaczyć byle jakim pretekstem. Mimo wszystko jednak pora — piąta nad ranem — była dość dziwna.

Spojrzałem wyżej — tam, gdzie znajdował się otwarty obecnie pawlacz. W mdłym świetle słabej żarówki nie mogłem dostrzec niczego poza jakimiś książkami i szpargałami.

— Co pan tu robi? — zapytałem ostro.

Mężczyzna tkwił w poprzedniej pozie, nadal wsparty na swoim szczudle, które — jak zauważyłem — ujął mocniej, gdy tylko postąpiłem krok w! jego kierunku.

— Co robię, to moja rzecz — odpowiedział. — A pan? Jakim prawem pan tu wszedł? Czego pan szuka? Skąd pan ma klucze?

— Proszę zejść — powiedziałem. — Jestem z milicji.

Wcale mnie nie posłuchał, a kiedy zamierzałem podejść bliżej, aby mu pomóc, chwycił się jedną ręką drzwiczek pawlacza, drugą natomiast zamierzył się w moim kierunku szczudłem.

— Ani kroku dalej! — ostrzegł. Wyciągnąłem legitymację. Wziął ją, nadal czujny, podniósł do oczu, przeczytał — i zaczął powoli opuszczać się ze stolika za pomocą szczudła.

Dopiero teraz, kiedy się zachwiał na nogach, zrozumiałem, że musiał sporo wypić. Poczulem zapach alkoholu.

— A więc? — powtórzyłem. — Co pan tu właściwie robi?

Oparł się na szczudle, które dawało mu większą pewność siebie.

— Powiedzmy, że pracuję. Nie wolno? Powiedzmy, że przyszedłem poszukać zbioru przepisów, potrzebnego do pewnej sprawy.

— I tu go pan — wskazałem na pawlacz — szukał? Może więc poszukamy razem? — zaproponowałem. A polem, całkiem już serio, dorzuciłem: — Tutaj właśnie ukrył pan miniaturę?

Długa, chuda twarz mężczyzny skrzywiła się nieprzyjemnie.

— Nie wiem, o czym pan mówi. Słyszałem co prawda kiedyś o jakiejś miniaturze, ale to nie ja ją miałem, lecz Ewa Hanke. Przychodziła tu, zanim ją ktoś załatwił.

Straciłem cierpliwość.

— Słuchaj pan — oświadczyłem, chwytając go za ramiona — gdzie jest morderstwo, tam kończą się żarty!

— Nie mam z tym nic wspólnego — oznajmił. — Przyszedłem tu po prostu po wódkę. A, tak — dodał — właśnie po wódkę. Czasem człowieka suszy, a w domu ani kropelki. Wtedy właśnie przypomina sobie, że jest jeszcze zamelinowana flaszka w pracy. No, ale tutaj dopiero mamy prawdziwą zagadkę. Flaszka była, sam ją stawiałem kilka dni temu na pawlaczu — i flaszki nie ma! Widzi pan, jakie cuda — wódki nawet człowiek nie może przechować!

Kłamał, fantazjował czy mówił prawdę? Przypomniałem sobie rozbitą butelkę z alkoholem. Możliwe, że to właśnie tę butelkę znalazła Godlewska na pawlaczu. Czy przy okazji znalazła wówczas miniaturę? Pawlacz, pełen różnych szpargałów, wydawał się niezłą kryjówką.

— Zaraz będzie pan miał okazję powtórzyć to wszystko jeszcze raz — obiecałem. — Zostanie pan przesłuchany w charakterze świadka.

Bez specjalnego oporu przeszedł ze mną do pokoju, skąd zatelefonowałem po radiowóz.

Kiedy już pojechał, wróciłem do poczekalni i — podobnie jak poprzednio Mikołaj — wspiąłem się na stolik. Przyznaję, że kiedy przedtem przeszukiwałem pomieszczenia zespołu w poszukiwaniu miniatury, na pawlacz jakoś nie zwróciłem uwagi. Tymczasem miniatura leżała właśnie tutaj — z tyłu, na dnie, za książkami, przykryta warstwą starych gazet.

Odchyliłem brzegi chusteczki, w którą była zawinięta. Ujrzałem owalny obrazek, wyobrażający młodą kobietę o długich, rudych włosach, w dużym niebieskim kapeluszu, z którego zwisało białe strusie pióro.

Zabrałem miniaturę ze sobą i poszedłem z nią do laboratorium kryminalistycznego, gdzie zdjęto z niej odciski palców. Przekazałem też do badań zakrwawioną chusteczkę. Następnie schowałem miniaturę znów do aktówki i pojechałem do Filipa Hanke.

Znalazłem go w tym samym co poprzednio, zagraconym pomieszczeniu w galerii. Siedząc przy biurku podpisywał jakieś rachunki.

Wyjąłem miniaturę.

— Zna pan to?

Zmienił się na twarzy. Gwałtownie poczerwieniał i równie szybko zbladł.

— Znaleźliście to przy Ewie? — zapytał. — Pozwoli pan, że przyjrzę się bliżej... — wyciągnął z szuflady lupę. — To kopia — oznajmił po chwili. — Nie ma żadnych wątpliwości. Sam ją wykonałem.

— A oryginał? — zagadnąłem. Dobrze pamiętałem miniaturę, którą tu właśnie, w tym samym pokoiku na zapleczu galerii Filip Hanke ukrył prędko w biurku na mój widok.

— Oryginał, wypożyczony na wystawę od pewnego kolekcjonera, wrócił, to oczywiste, do właściciela.

— Adres tego człowieka?

Z ociąganiem, ale mi podał. Nazwisko nic mi nie mówiło.

— Odesłałem miniaturę, z pewnym opóźnieniem — dodał. — Mam nadzieję, że nikt nie będzie robił problemu z tego powodu. Wyjaśnienie jest zresztą proste. Chciałem skopiować ten obrazek, a praca nad tym zajęła mi więcej czasu niż zakładałem.

Oznajmił to w sposób tak naturalny, że gdyby nie wcześniejsza lektura zapisków Godlewskiej, z pewnością bym uwierzył. Znałem jednak inną wersję.

— Po co była panu kopia?

Mimo powagi chwili uśmiechnął się kątem ust.

— Skoro nie mogę posiadać oryginału, chciałem się przynajmniej nacieszyć kopią.

— A materiał? Skąd pan miał kość słoniową, aby uzyskać odpowiedni efekt?

— Kupiłem u jubilera — wyjaśnił. — Tanie to nie jest, ale że mamy teraz modę na biżuterię i wyroby z kości słoniowej, nie miałem specjalnych trudności.

Niespodziewanie ktoś uchylił drzwi. Ujrzałem młodą dziewczynę — tę samą, która wskazała mi drogę do biura podczas mojej poprzedniej wizyty w galerii. Tyle, że zamiast grubego burego swetra nosiła elegancki aksamitny żakiet, w którym wyglądała jak odmieniona. I zamiast książki trzymała w ręce jakieś papiery.

— Przepraszam, że przeszkadzam — zwróciła się do Filipa — ale mamy tu jeszcze trzy pilne faktury do podpisu. Bez tego „Hartwig” nie przewiezie nam eksponatów. Poza tym telefonowano z ministerstwa, że są już paszporty, i żeby zaraz z rana przyjechać po odbiór...

Wysunęła się tak samo cicho, jak weszła.

— Wyjeżdża pan? — zdziwiłem się.

— Za dziesięć dni ma nastąpić w Wiedniu otwarcie wystawy polskiej plastyki współczesnej, której patronuje nasza galeria. Wystawiamy trochę malarstwa, ceramiki, tkactwa artystycznego, rzeźby, szkła. Wszystko zostało już załatwione wcześniej. Wyjadę zaraz po pogrzebie Ewy.

— Sam?

— Jedzie ze mną jeszcze moja asystentka, widział ją pan przed chwilą. Ach — domyślił się — podejrzewa pan pewnie, że łączy nas coś więcej aniżeli zwykła zawodowa współpraca. No cóż. będę z panem szczerzy — pewnych spraw i tak się nie ukryje. Ewa i ja podejmowaliśmy niejedną próbę ułożenia naszego wspólnego życia, niestety, z mizernymi, jak się okazało, rezultatami. W końcu każde z nas zaczęło chodzić własnymi ścieżkami. Ta dziewczyna to Anna...

— Jest jeszcze bardzo młoda — zauważyłem. — Czy pańska żona wiedziała o tej znajomości?

— Domyślała się.

— I co?

— Rozumiem, do czego pan zmierza. Związek z młodą dziewczyną, w perspektywie wspólny wyjazd za granicę. I żona, która w każdej chwili może temu stanąć na przeszkodzie... Może to i nawet tak na pierwszy rzut oka wygląda. Idzie pan jednak błędnym tropem. To nie ja zabiłem Ewę. I wcale nie ze względu na

Annę, albo z powodu obaw, że byłaby w stanie przeszkodzić naszemu wyjazdowi za granicę. Prawda jest inna. Widzi pan — Ewa wciąż jeszcze nie była mi obojętna.

Zapowiedziałem, że póki trwa śledztwo, nie może nigdzie wyjechać. Nie powiem, by przyjął to ze stoickim spokojem.

## 4

---

Po drodze z galerii postanowiłem raz jeszcze wstąpić do zespołu. Byłem przekonany, że nie zastanę tam nikogo. Aldona Godlewska leżała w szpitalu, Mikołaj był w Pałacu Mostowskich na przesłuchaniu, a po Łukasza Chmielewskiego i jeszcze po parę innych osób wysłałem radiowóz. Miałem bowiem pewien plan i chciałem go zrealizować przez nikogo nie niepokojony.

Kluczami Godlewskiej otworzyłem drzwi. Znalazłem się w dusznym, skąpo oświetlonym przedpokoju. Podstawiłem krzesło i wspiąłem się na stolik.

Sięgnąłem na pawlacz. Odsuwając na bok stertę czasopism i książek włożyłem pod spód kopię miniatury i nasunąłem wszystko ponownie na dawne miejsce.

Otrzeptałem ręce z kurzu, zeskoczyłem na podłogę. Pod stołem leżało jakieś pismo. Kiedy schyliłem się, by je podnieść, rzucił mi się w oczy strzępek materiału. Był zaczepiony o wystający gwóźdź, którym kiedyś usiłowano widocznie naprawić rozchwiane nogi stolika. Zdjąłem go, obracając machinalnie w palcach. Coś mi przypominał, jednakże nie byłem sobie w stanie uświadomić, co. Schowałem go jednak do portfela i wyszedłem.

Idąc przez podwórko, minąłem się z kobietą, która wyglądała lak, jak gdyby żywcem zeszała z kart notatek Godlewskiej. Nawet lila toczek i fioletowa sukienka były te same. Zatrzymałem się w bramie, obejrzałem się, a kiedy spostrzegłem, że nieznajoma znika w klatce schodowej, w której znajduje się zespół, zawróciłem i poszedłem za nią.

Przystanąłem, ukryty za załomem wejścia do piwnicy. Usłyszałem dźwięk dzwonka i szarpanie klamki. Jednak zanim zdążyłem zareagować, ktoś wyjrzał z przeciwka. Wysoki kobiecy głos poinformował:

— Nie ma co się dobijać, zespół nieczynny.

— Jak to nieczynny? — usłyszałem pytanie. W tym momencie postanowiłem wejść do gry. Postawiłem na dokładność opisu Godlewskiej.

— Pani Fabisiak? — zagadnąłem.

Oczy nieznajomej zmieniły wyraz, stały się czujne. Przez chwilę spodziewałem się, że zbędzie mnie pod łada pretekstem. Jednakże musiało ją tu przyznać coś bardzo ważnego i nie cierpiącego zwłoki.

Potwierdziła. Nawet jeżeli była zaskoczona — a prawdopodobnie była — postarała się, aby to ukryć.

— O co chodzi? Kim pan jest? — odezwała się.

— Znajomym pani Godlewskiej, kierowniczką zespołu — odpowiedziałem, zresztą zupełnie zgodnie z prawdą. — Może wejdziemy do środka? — zaproponowałem.

Skoro tylko znaleźliśmy się wewnątrz, postarałem się o zademonstrowanie, iż czuję się tu jak u siebie w domu. Gestem mecenasa, przyzwyczajonego do wysłuchiwanie zwierzeń klientów, wskazałem fotel naprzeciw biurka. Tym samym gestem powstrzymałem moją nową znajomą przed zbędnymi pytaniami,

— Pani Godlewska zachorowała — oznajmiłem. — Jest w szpitalu. Prosiła, żeby jej przekazywać wszystkie ważniejsze wiadomości. Jeżeli więc przyszła pani tułaj z czymś ważnym — zrobię to. Znam pani sprawę — dodałem, przywołując na pamięć maszynopis Godlewskiej. Musiałem jednak wykazać, że znam ją naprawdę. — Chodzi o pani proces rozwodowy oraz o ewentualne dowody zdrad ze strony pani małżonka, o ile się nie mylę.

— Widzę, że jest pan rzeczywiście zorientowany — stwierdziła.

— Czy zaszło coś nowego? — zagadnąłem, żywiąc nadzieję, że zanim dowie się, kim jestem naprawdę, powie mi coś więcej.

— Mnóstwo! — wykrzyknęła. — Przede wszystkim mojego męża nie było w domu przez prawie dwie noce. Gdy wrócił, wyglądał jak ostatnia łajza — brudny, nieogolony. Kiedy zapytałam, gdzie się włóczył przez cały ten czas, zaczął mi grozić! Powiedział, że chociaż zrobiłam wszystko, żeby go wykończyć, teraz nadeszła jego pora, i on wykończy mnie. Krzyczał: „Nasłałaś na mnie szpiclówkę — i co? Ja i tak się ze wszystkiego wywinę, co najwyżej parę twoich pierścionków pójdzie na grzywnę, a ona ziemię gryzie! Z tobą będzie tak samo!”

— I po cóż było dawać Ewie Hanke adres kasyna w Izabelinie? — powiedziałem z wyrzutem. — Wiedziała pani przecież, że to dziennikarka i może zechcieć wykorzystać zdobyte wiadomości w różny sposób. Na przykład do napisania jakiegoś demaskatorskiego reportażu. Zdawała sobie pani z tego sprawę?

— To znaczy... — zaczęła, nieco zbita z tropu. — Ewa obiecywała, że zrobi wszystko, co tylko możliwe, żeby mi dostarczyć pełną dokumentację — tak się właśnie wówczas wyraziła — zdrad mojego małżonka. Muszę zresztą przyznać, że po pierwszych kilku dniach dostałam rzeczywiście coś w rodzaju kalendarza wypraw mojego męża razem ze striptizerką do kasyna. Potem jednak Ewa zaczęła nalegać, że i ona chciałaby choć raz wejść do takiego lokalu. Pojechałam więc tam z nią samochodem. Weszliśmy przez restaurację — drogę znałam. Lecz kiedy byliśmy już dostatecznie blisko, Ewa niespodziewanie zmieniła zamiar.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Wydawało mi się, że zobaczyła kogoś na tarasie.

— Kogoś znajomego?

— Może... Nic zwierzała mi się. To nie w jej stylu.

— Wróciłyście razem do domu? — zapytałem, mając w pamięci zeznania Marioli. Czy nie był to czasem ten sam wieczór, podczas którego Mariola zauważyła Ewę na parkingu przed restauracją „Pod Łosiem”? Ewę, która rozmawiała z kimś w białym fiacie?

— Nie — odparła. — Chciałam wiedzieć, co się nagle stało, chyba miałam do tego pełne prawo — stwierdziła, sprawiając nadal wrażenie poruszonej. — Tymczasem usłyszałam, że powinnam pilnować własnych spraw, a nie wtykać nos w cudze. Była to tak niegrzeczna odpowiedź, że aż mnie zatkało. Zatrzymałam wóz i kazałam jej wysiadać.

— Nie wie więc pani, co działo się dalej?

— Nie.

— A tego kogoś, kto był na tarasie, gdy zobaczyła go Ewa — poznałaby pani?

Zastanowiła się.

— Nie wiem. To był mężczyzna, który wyszedł w pewnym momencie z willi i dosiadł się do grających. Widziałam go co prawda jedynie z daleka, jednakże miał dość charakterystyczną sylwetkę. Musiałabym go jeszcze raz zobaczyć... — powiedziała niezdecydowanym tonem.

— Chce pani spróbować? — zaproponowałem.

Spojrzała na mnie z nietajonym zdziwieniem.

— Kim pan właściwie jest? Myślałam, że zastępuje pan panią Godlewską...

— Powiedziałem, że jestem jej znajomym i nie było w tym ani krzty kłamstwa — oświadczyłem, wyciągając legitymację.

Wydawała się tak zaciekawiona i podniecona swoją własną rolą, że pojechała ze mną bez specjalnego wahania.

Na razie musiała jeszcze trochę poczekać. Po przybyciu do Pałacu Mostowskich powierzyłem ją pieczy Sylwka. Sam natomiast przeszedłem do pomieszczenia, w którego ścianie znajdował się specjalny wizjer, łączący go z sąsiednim pokojem.

Podniosłem klapę. Ujrzałem grupkę osób, wśród nich Filipa Hanke i Mikołaja. Elegancki dżentelmen w binoklach to był Mieczysław Charamuszko, a drugi mężczyzna, przystojny, podstarzały szatyn — radca prawny zespołu, Łukasz Chmielewski.

Wszystko było gotowe. Zadzwoiłem, żeby doprowadzono z aresztu właściciela nielegalnego kasyna gry w Izabelinie.

Odsunąłem klapę wizjera i poleciłem mu spojrzeć.

— Czy zna pan którąkolwiek z tych osób? — zagadnąłem.

Odsunął się od wizjera. Jego twarz miała równie nieprzenikniony, obojętny wyraz jak poprzednio.

— Nie przypominam sobie — odrzekł.

— Nikt z nich nie był w prowadzonym przez pana kasynie?

— Niestety, nie mam pamięci do twarzy. Wychodząc skinął mi nonszalancko głową na pożegnanie.

„Niewypał” — pomyślałem. Oczekałem chwilę i poprosiłem następnego świadka.

Lekarz, którego poznałem w kasynie, sprawiał wrażenie człowieka, który zrobiłby wiele, ażeby jak najszybciej zapomnieć o łączącej nas znajomości. Kiedy otworzyłem wizjer, przytknął do szybki twarz, na której malował się wyraz skupienia. Z takim samym skupieniem spojrzał następnie na mnie.

— Wydaje mi się, że jednego z tych panów widywałem od czasu do czasu wśród graczy...

Poderwałem się. Jeżeli tylko mówił prawdę, a nie chciał się uwolnić ode mnie za wszelką cenę, moja hipoteza o związku pomiędzy śmiercią Ewy Hanke a istnieniem kasyna gry w Izabelinie znajdowała potwierdzenie.

— Proszę wskazać tego człowieka — poleciłem.

Przez pewien czas się namyślał.

— Drugi od lewej — rzekł wreszcie.

— Jest pan pewien? Przyłgął ponownie do szybki.

— Raczej tak.

Na moje życzenie dorzucił kilka dodatkowych szczegółów i wyszedł z nadzieją, że mnie już więcej nie zobaczy.

Właściwie eksperyment był zakończony. Mimo to zadzwoniłem do Sylwka, ażeby sprowadził Lidję Fabisiak.

Wchodząc do pokoju zlustrowała go ciekawie. Wskazałem wizjer w ścianie.

— Proszę spojrzeć — powiedziałem. — Zobaczysz pani w sąsiednim pomieszczeniu grupę osób. Ludzie ci nie widzą nas.

Zajrzała ciekawie przez wizjer. Nagle drgnęła, zauważyłem, że odsunęła się i dopiero po chwili na nowo zaczęła się wpatrywać w okienko.

— Czy widziała pani kiedykolwiek którąś z tych osób w kasynie? — zapytałem.

Odwróciła się.

— Ach, trudno powiedzieć, byłam tam tylko kilka razy i to dość dawno. Przewijało się wielu ludzi. Poza tym — rozejrzała się — wie pan, inna sytuacja...No, a rozumiem, że to ma jakieś ważne znaczenie. Nie chciałabym nikogo obciążać...

Czułem, że mnie okłamuje. Przemawiała za tym przede wszystkim jej początkowa reakcja. Kto wie, jak miała w tym cel?

Rozstaliśmy się chłodno. Wezwałem Sylwka, który zameldował, że ekipa techników pobrała odciski i odlewy opon ze wszystkich interesujących mnie wozów. Wstępne wyniki badań porównawczych będą jutro.

Zadzwoniłem natychmiast i usłyszałem to samo. Akurat ta pracownia ma najwięcej zleceń. Nie tając zniecierpliwienia, odłożyłem słuchawkę. Sylwek posłał mi spojrzenie pełne zrozumienia.

— Trzeba było przypomnieć, że jeszcze do tej pory nie przysłali ekspertyzy przedmiotów z miejsca znalezienia zwłok Ewy Hanke — dorzucił. — A taki piękny worek im zaniósłem: papierki, niedopałki, kawałki szmat...

— Tak... tak — powtórzyłem machinalnie i nagle przypomniałem sobie, dlaczego skrawek materiału, który znalazłem pod stolikiem w zespole wydał mi się skądś znajomy.

Zbiegłem na dół, do laboratorium, gdzie zażądałem, żeby mi natychmiast odszukano dowody rzeczowe do sprawy Ewy Hanke.



Miałem rację. Oba skrawki materiału — i ten z zespołu, i ten odnaleziony nie opodal jeziora w Izabelinie — były identyczne.

W zespole nie miałem czego szukać. Przepatrzyłem tam w końcu każdy kąt i było mało prawdopodobne, ażebym coś przeoczył. Nigdzie nie natrafiłem na ślad niczego, z czego mogłyby pochodzić owe strzępki tkaniny.

Obejrzałem je jeszcze raz. Przypominały kawałki starej zleżalej narzuty.

„Do licha! — pomyślałem. — To, że teraz nie ma tam czegoś takiego, wcale nie musi oznaczać, że nie było również przedtem”. Gdyby nie wypadek Godlewskiej, może od niej dowiedziałbym się czegoś bliższego. A tak pozostawały jedynie mieszkania sąsiadów. W starych kamienicach ludzie z reguły lepiej się znają i wiedzą więcej o swoich bliźnich niż lokatorzy nowych bloków.

Zadzwoiłem do drzwi naprzeciwko. Ostatnio widziałem w nich kobietę o wysokim głosie. Obecnie przydreptał zasuszony staruszek w filcowych papuciach, za którym czał się złośliwie ujadający piesek.

Staruszek był przygłuchy, pies natomiast wprost przeciwnie, skoro każde podniesienie głosu wzmagało jego wściekły jazgot. Na szczęście wyłoniła się z głębi mieszkania znana mi już kobieta, jak się okazało, córka starego. Skoro tylko dowiedziała się, kim jestem, skwapliwie zaprosiła mnie do środka.

Zademonstrowałem oba skrawki tkaniny i zapytałem, czy nie widziała czasem czegoś podobnego.

Włożyła okulary.

— Państwo Ludwiczakowie mieli kiedyś takie narzuty na łóżka.

— Państwo Ludwiczakowie to kto? — zapytałem.

— Sąsiedzi z przeciwka — wyjaśniła. — Jak wyjeżdżali do Ameryki, do córki, myśleli, że szybko wrócą, więc zostawili w mieszkaniu wszystkie meble. Później się okazało, że potrwa to dłużej, i wtedy pani Godlewska, bratanica pana Ludwiczaka, która opiekowała się mieszkaniem, urządziła tutaj ten zespół. Niby tylko do ich powrotu — ale kto ich tam wie?

Jej okrągła twarz, otoczona wianuszkami brązowych loczków, nabrała wyrazu powątpiewania. Zdejmując okulary zdradziła mi coś jeszcze:

— Bo weźmy na przykład meble. Pani Godlewska kazała te większe powynosić na strych, mniejsze do piwnicy. Ale pan wie, jakie mole musiały się zalęgnąć w tym wszystkim? Ja myślę, że jakby państwo Ludwiczakowie teraz przyjechali, to może nawet ani jednej rzeczy nie mieliby do wstawienia z powrotem. Wszystko poniszczone.

Spytałem, czy mogłaby mnie zaprowadzić na strych. Zgodziła się natychmiast. Odpędziła psa od drzwi i już była gotowa pokonać ze mną pięć pięter bez windy.

Na strychu nie odkryłem nic ciekawego, więc zeszliśmy na dół, do piwnicy.

Przy kluczach Aldony Godlewskiej znajdował się także i taki, którego przeznaczenia dotąd nie odgadłem. Obecnie dopasowałem go do kłódki, zawieszanej na drzwiach piwnicy.

Panował tu mrok jeszcze większy niż na strychu, i jeszcze większy, jak mi się wydawało, bałagan. Zapaliłem latarkę. Stały tu różne skrzynie, pakunki i paczki, na których, zwalone jedno na drugie, leżały stosy książek, poprzykrywane gazetami i jakąś kapą.

— No i proszę, nie mówiłam?! — ucieszyła się sąsiadka. — Jest! To właśnie ta narzuta, o którą pan pytał! Powinna tu być jeszcze i druga. Państwo Ludwiczakowie mieli dwie takie kapy, każdą na jedno łóżko. Jak pan poszuka, na pewno pan znajdzie!

Gotów byłem założyć się o nie wiem co, że nie znajdę. Tak jak i gotów byłem dać głowę, że Ewa Hanke została zamordowana tutaj, w zespole. Morderca owinał następnie jej ciało w kapę, zabraną z piwnicy i w taki właśnie sposób przetransportował je, najprawdopodobniej w bagażniku samochodu, nad jezioro w Puszczy Kampinoskiej. Po drodze zatrzymał się jeszcze w pobliżu restauracji „Pod Łosiem”, skąd zabrał dla obciążenia trochę cegieł i gruzu.

Wyciągnąłem narzutę. Była zapewne tak samo zetlała i pogryziona przez mole jak tamta — i tak samo łatwo rozłaziła się pod palcami. Rozumiałem już, dlaczego byle zaczepienie o gwóźdź czy jakiś inny ostry przedmiot musiało wydzierać całe kawałki materiału.

Kątem oka zauważyłem, że sąsiadka zerka na zegarek.

— Czy będę jeszcze potrzebna? — zapytała. — Idę dzisiaj do pracy na drugą zmianę i muszę się pośpieszyć... — widać było, że ciekawość walczy w niej z obowiązkowością.

Ułatwiłem jej wybór. Lecz kiedy już zniknęła i zamykałem piwnicę, usłyszałem zgrzyt klucza. Ktoś wchodził do zespołu,

Przebyłem szybko kilka schodów — i w tym momencie przeważył głos rozsądku. Postanowiłem jeszcze trochę zaczekać. Jeżeli nawet tam, na górze, był w tej chwili morderca, który przyszedł po miniaturę, musiałem mu dać trochę czasu.

Zaplanowałem, że zatrzymam tego człowieka tuż po opuszczeniu zespołu i sprawdzę, czy ją wziął z miejsca, w którym ją dla niego ukryłem.

Zachowując środki ostrożności wyszedłem na podwórko. Na jego krańcu, pod murem ograniczającym tę posesję od sąsiedniej, stał biały fiat, którego, jak pamiętałem, nie było tam wcześniej. Z ciekawości poszedłem sprawdzić rejestrację.

Pochylałem się właśnie nad zabłoconą tablicą, kiedy rozległ się warkot silnika i tuż przed oknami zatrzymał się granatowy fiat „uno”, z którego wysiadła Lidia Fabisiak.

Miałem obecnie dwa wyjścia. Albo pozostać tutaj, trzymając się poprzedniego schematu działania, albo próbować zorientować się, co się będzie działo w zespole.

Nie pozostawiono mi zbyt wiele czasu do namysłu. Zaledwie wspiąłem się na palce, usiłując zajrzeć przez zakratowane okna do zespołu, kiedy zelektryzował mnie przenikliwy krzyk. Zeskoczyłem, by w chwilę później zderzyć się w wejściu z kobietą o brązowych loczkach, tą z mieszkania naprzeciw zespołu. Ktoś pchnął ją z tyłu na mnie tak, że przewróciliśmy się oboje. Zanim stanąłem na nogi, człowiek, na którego czekałem, był już przy samochodzie.

— Stój! — zawołałem. — Zatrzymaj się! Milicja!

Nawet się nic odwrócił. Błyskawicznie zniknął w fiacie, którego skierował prosto na mnie.

Warkot silnika świdrował w uszach, maska wozu była coraz bliżej... bliżej... bliżej!

Odskoczyłem. Samochód przejechał obok, znikając za bramą.

Ktoś chwycił mnie za rękaw. Odwróciłem się. Trzymając się zbolalym ruchem za głowę stała za mną Lidia Fabisiak.

— To on! — krzyknęła. — To ten człowiek był wtedy w kasynie!

Mógłbym jej powiedzieć kilka cierpkich słów. Nie było jednak czasu na dłuższe wyjaśnienia. Przeklinałem nierozwagę, która sprawiła, że znalazłem się bez samochodu.

W tym momencie wzrok mój padł na fiata „uno”.

— Kluczyki od wozu! — zażądałem. Podała mi je bez oporu.

— Niech pani wsiada! W drodze mi pani wszystko opowie!

Wyjechaliśmy z bramy. Ulica Świerczewskiego była w tym miejscu dwupasmowa i każdy samochód, który znalazł się po jednej stronie, musiał się jej trzymać. Dopiero za tunelem Trasy W-Z znajdował się pierwszy zjazd. W tunelu zaś, a także już poza nim, w miejscu, gdzie znajdują się przystanki tramwajowe, tworzyły się nieustannie zatory. Na tym właśnie oparłem swoje rachuby na dogonienie białego fiata.

— Niech pani teraz wszystko opowie — zażądałem.

— Kiedy spojrzałam w wizjer — powiedziała — poznałam tego człowieka. Nie byłam jednak pewna, czy się nie mylę. Pamiętałam, że kiedyś mi mignął w zespole pani Godlewskiej. Postanowiłam tam pojechać. Zastałam go. Akurat wychodził. Powiedział, że się spieszy i żebym przysła kiedy indziej. Poprosiłam jednak o chwilę rozmowy, wspomniałam, z czym przychodzę. Roześmiał się. „Teraz to już nie ma znaczenia” — oznajmił. Zdenerwowałam się. Zagroziłam, że w każdej chwili mogę zadzwonić na milicję. Zmienił ton, poprosił, żebym usiadła, to omówimy sprawę spokojnie. W ostatnim momencie coś mnie tknęło. Obróciłam się i zobaczyłam, że chce mi zarzucić szalik na szyję. Szarpnęłam się, zaczęłam krzyczeć. Zamachnął się, uderzył mnie w głowę i wybiegł... Ja za nim! Resztę już pan wie.

W sznurze samochodów, który właśnie wpełzał powoli do tunelu, dostrzegłem jakiegoś białego fiata. Czy był to jednak ten poszukiwany? Przycisnąłem równocześnie klakson i pedał gazu, i całym pędem wjechałem na tory tramwajowe, dzielące jezdnię na dwie części. Biały fiat ruszył wraz z innymi pojazdami naprzód i zniknął w tunelu. Jeszcze chwila, a znajdzie się przy zjeździe z mostu i wtedy prawdopodobnie stracę go z oczu!

Wjechałem do tunelu, ciemnego od spalin, wypełnionego gryzącym dymem. W duchu modliłem się, żeby tylko nagle nie wyłonił się tramwaj z naprzeciwka.

Kierowca białego fiata musiałby być głuchy i ślepy, żeby nie zauważyć, co się dzieje. W pewnym momencie zatrzymał się, a kiedy pomiędzy nim a pojazdem, znajdującym się przed nim utworzyła się luka, wykorzystał ją do zjechania na środek jezdni.

Wypadł z tunelu, za którym stały na przystankach dwa tramwaje — jeden w stronę Pragi, drugi w kierunku lewobrzeżnej Warszawy. Nie wiadomo, jakim sposobem wcisnął się w przerwę między nimi, w którą ja już się wcisnąć nie zdołałem.

Na jezdni znajdował się tłum wsiadających i wysiadających. Musiałem zwolnić. Fiat natomiast zwiększał przerwę.

— Cholera! — zakląłem, naciskając klakson. Ludzie rozpięchli się. W prawo odchodziła pętla wjazdu z Wybrzeża Kościuszkowskiego na most. Naprzeciwko znajdowała się identyczna ulica, służąca do wjazdu na Wybrzeże Gdańskie. Przejazd tam był obecnie całkowicie niemożliwy, zagradzał go tramwaj. Nie przypuszczałem jednak, że kierowca fiata okaże się takim ryzykantem. Ponieważ nie mógł dostać się na zjazd, niespodziewanie pełnym gazem skręcił w prawo, pod prąd, Rozległ się głośny pisk hamulców wozów jadących z przeciwka. Kilka samochodów stanęło, inne uciekały w popłochu na bok, otwierając fiatowi wolny przejazd.

Przystanąłem.

— Niech pani wysiada, szybko! — rozkazałem,

Lidia Pabisiak usiłowała się opierać.

— A mój wóz?

Bezlitośnie wypchnąłem ją z samochodu.

Z góry ujrzałem fiata, który mijał wzniesienie, dojeżdżając do stacji benzynowej. Przy stacji rozciągał się wąż samochodów, czekających w kolejce po benzynę. Wcisnąłem ponownie gaz do deski. Jeżeli go teraz nie dopadnę i uda mu się zjechać na Wisłostradę, może mi się wymknąć.

Popędziłem w dół. Wąż samochodów poruszył się. Dwa wozy odjechały i wszystkie następne zaczęły się toczyć powoli pod górę. Jeden z nich wziął zbyt ostry zakręt i znalazł się prawie na środku jezdni. Kierowca widząc jadący nieprawidłowo z góry samochód, usiłował się cofnąć, jednakże w tym samym momencie pojawił się na jezdni następny samochód, zmierzający pod górę.

Widziałem to wszystko jak na filmie. Biały fiat przyhamował. Zorientowałem się, że chce powtórzyć poprzedni manewr i wcisnąć się między auta. Bez zastanowienia skręciłem na skarpę. Podrzucony tak, że omal nie przebiłem głową sufitu, w szatańskim, jak mi się wydawało tempie, pojawiłem się znów na jezdni, zastawiając jedyny wolny przejazd. Teraz biały fiat mógł albo uderzyć we mnie — rozbijając przy okazji również i siebie — albo próbować skręcić w bok, na skarpę. Wybrał to drugie. Wykonał jednak manewr zbyt gwałtownie. Wpadł w poślizg, stoczył się ze skarpy, runął najpierw na bok, później na dach i dopiero wtedy znieruchomiał.

Siła uderzenia wyrzuciła kierowcę przez rozbitą przednią szybę na maskę silnika. Podbiegłem, spojrzałem w zakrwawioną twarz. „Więc się nie pomyliłem...” — pomyślałem.

## EPILOG

---

Usiadł przy tapczanie, na którym leżałam okryta kocem i nie brakowało czasu ani okazji, ażeby — dopiero teraz — przyjrzeć mu się dokładniej. Sądząc na oko miał niewiele ponad czterdziestkę. Nosił szary garnitur z niebieską koszulą, w czym wyglądał jak urzędnik tuż po opuszczeniu biura. Jego włosy były ciemne, trochę sfalowane, oczy również ciemne, głęboko osadzone. Szeroki podbródek oraz wystające kości policzkowe przydawały mu jakiegoś wschodniego, kresowego kolorytu.

Z odrastającymi włosami, w chustce zawiniętej na głowie w turban, zwolniona dopiero co do domu po długim pobycie w szpitalu, wyglądałam prawdopodobnie jak straszycło. Na szczęście nie musiałam patrzeć w lustro. Miałam bardziej interesujące zajęcie. Na mojej dłoni leżały smętne resztki miniatury, a raczej kopii miniatury, wykonanej ongiś przez Filipa Hanke. Czas, gdy ją odkryłam, zawiniętą w moją własną zakrwawioną chusteczkę i ukrytą na pawlaczu w zespole, wydawał mi się odległą, zamierzchłą epoką. — No i co, majorze Wanacki? — zapytałam. — Jednak ją pan odnalazł? Ale dlaczego, u licha, w tak kiepskim stanie?

— Kość słoniowa jest krucha, łatwo pęka — wyjaśnił. — Znalazłem to przy Łukaszu Chmielewskim po wypadku. Prócz tego miał przy sobie jeszcze paszport i bilet na samolot. Odlatywał z Okęcia za dwie godziny. Mało brakowało, a wszystko poszłoby gładko. Zgubiła go własna zachłanność. Gdyby tak bardzo nie zależało mu na miniaturze — którą już zresztą przedtem kilkakrotnie chciał zabrać ze schowka — i gdyby nie wrócił znów do zespołu, to kto wie...

Rzucił mi spojrzenie, które mówiło, że reszty sama powinnam się domyślić. Wcale jednak nie chciałam się domyślać.

— Nie rozumiem — powiedziałam. — Przecież była to tylko bezwartościowa kopia..

Wstał i przeszedł się kilka razy po pokoju.

— Ale on o tym nie wiedział. Nie był znawcą dzieł sztuki i po prostu nie znał się na tym. Był przekonany, że ma do czynienia z oryginałem.

— I dlatego właśnie zabił? Dla tego głupiego obrazka?

— To dość zawiła historia — odparł. — Ale jestem winien pani wyjaśnienie, choćby ze względu na fakt, że tak wiele zawdzięczam pani zapiskom. Machnęła lekceważąco ręką.

— O! laka lam pisanina! Obruszył się.

— Mówię serio. Gdyby nie notatki, w których przejawiała pani dużą spostrzegawczość i zmysł obserwacyjny oraz gdyby nie pani, powiem szczerze, ciekawość, być może nadal śledztwo siałoby w miejscu. Mam poza tym jeszcze jeden dług wdzięczności wobec pani — za skuteczną pomoc w Izabelinie.

— A, wie pan — rzekłam — skoro już o tym mówimy, nie bardzo rozumiem, dlaczego obywatelowi PRL, którego na to stać, nie wolno grać w ruletkę. Za to wolno mu całą forszę przepić albo przegrać co tydzień w Toto-Lolka?

— Co pani chce ode mnie usłyszeć? — zapytał. — Milicja nie układa przepisów, jest tylko od ich egzekwowania.

— Nie odpowiedział pan dotąd na zasadnicze pytanie — przypomniałam. — Dlaczego Łukasz zabił Ewę?

— Były dwa powody — odparł. — Oba jednakowo istotne i oba ze sobą związane: miniatura i nielegalne kasyno gry. Łukasz Chmielewski, który był jednym z bywalców kasyna w Izabelinie, przegrał tam większą sumę. Pożyczył wówczas pieniądze na lichwiarski procent, nawiasem mówiąc od właściciela kasyna, który się trudnił i takim również procederem.

— W pewnych sferach panuje przekonanie, że każdy sposób jest dobry, gdy chodzi o zdobycie szmalu — zauważyłam z przekonaniem.

— Chmielewski wierzył, że szybko się odegra i zwróci dług. Ale trafił na złą passę. Tymczasem wierzyciel zaczął naglić, grożąc zakazem wstępu do kasyna i oddaniem weksli do komornika. Chmielewski

znalazł się naraz w sytuacji bez wyjścia. Hazard go wciągnął i nie mógł się już obejść bez gry. Oddanie wksli do komornika, który dochodziłby należności przede wszystkim w miejscu pracy, mogło oznaczać utratę dotychczasowej posady w centrali handlu zagranicznego. Musiał więc coś wymyślić, i to szybko.

— Wtedy usłyszał o miniaturze, tak?

— Tak. Dowiedział się, że Ewa Hanke posiada cenną miniaturę. Jako pracownik centrali handlu zagranicznego Chmielewski często wyjeżdżał za granicę jako doradca prawny w różnych oficjalnych delegacjach na rozmowy handlowe. Z doświadczenia wiedział, że w takich wypadkach kontrola celna bywa powierzchowna lub żadna. Postanowił zdobyć miniaturę, a następnie wywieźć i spieniężyć ją za granicą.

— Dlaczego nie w kraju? — zainteresowałam się. — Może „Desa” była rzeczywiście zbyt niebezpieczna, ale są jeszcze prywatni kolekcjonerzy.

— Łukasz też postanowił wystąpić w tym charakterze i pod takim pretekstem namówił Ewę, aby przyniosła mu do obejrzenia miniaturę, o której tyle słyszał. Nawiasem mówiąc rzeczywiście słyszał o niej wiele. Od pani — wytknął mi.

Jeszcze raz przeklełam swoje gadulstwo. Czyż mogłam jednak przewidzieć jego późniejsze skutki?

— Ewa Hanke zgodziła się i obiecała przynieść miniaturę do „Kongresowej”. Chmielewski nie wiedział oczywiście o poprzednich kontaktach Ewy z Pabisiakiem i o umówionym wcześniej spotkaniu z jubilerem, na które również obiecała się zjawić z miniaturą.

Nie miał również pojęcia o istnieniu Chara-muszki — trzeciego już reflektanta na to cacko. Wszystko to potwierdza zresztą pani opinię o Ewie. Była ona rzeczywiście osobą ekscentryczną. Ale nie aż taką ryzykantką, ażeby brać ze sobą w torebce na dansing dzieło sztuki o tak znacznej wartości. Poza tym odbyła się przecież pewna burzliwa rozmowa z Filipem, o której sama pani wspominała w swoich zapiskach. To również mogło wywrzeć wpływ na taką właśnie decyzję. W każdym razie Ewa Hanke wzięła ze sobą do „Kongresowej” nie oryginał, lecz kopię miniatury. To ustaliliśmy z całą pewnością.

— Tego akurat się domyślałam — powiedziałam.

— Szkoda, że do końca nie wykazała pani podobnej przenikliwości...

Obruszyłam się.

— No i cóż by komu z tego przyszło? Łukasz to człowiek, który jak raz powźmie jakiś plan, nie odstąpi od niego. Czy pan wie, że to właśnie głównie dzięki memu powstał nasz zespół porad? On go wymyślił i wszystko załatwiał tak długo, aż dopiął celu.

— Musiał. Potrzebne mu było dodatkowe źródło dochodów na hazard... Właśnie w kasynie zobaczyła go pewnego razu Ewa Hanke, podążająca tropem Fabisiaka i striptizerki Marioli.

— To był właśnie ten drugi motyw? — domyśliłam się.

— Tak. Chmielewski spotkał tego wieczoru Ewę Hanke w okolicy restauracji „Pod Łosiem” i stwierdził, że stanowi ona dla niego potencjalne zagrożenie. Jeżeli kiedykolwiek wyszłyby na jaw jego eskapady do kasyna, mógł się pożegnać z wyjazdami za granicę ze swojej centrali. A kto wie, czy i nie z posadą. Tak, że nie miał specjalnych skrupułów, obmyślając swój plan. Z dwóch powodów, z których każdy był jednako ważny, Ewa Hanke musiała zniknąć, pozostawiając miniaturę... Na miejsce realizacji tego planu Chmielewski obrał zespół, gdzie mógł dokonać zbrodni właściwie bez żadnych przeszkód.

— Ale jak mu się udało ściągnąć tam Ewę?

— Trudno powiedzieć, jakich użył argumentów. Przypuszczam, że najzupełniej banalnych. Sama go pani przecież określiła jako typ mężczyzny, w którym gustują kobiety. Czy Ewa Hanke stanowiła jakiś szczególny wyjątek?

— Chyba nie — odparłam. — Myślę, że i jej się też podobał. A poza tym, odkąd pamiętam, zawsze lubiła otaczać się mężczyznami.

— No, a skoro się znali. Chmielewski musiał o tym wiedzieć. I wykorzystał to, namawiając Ewę na intymne spotkanie po dansingu, w pustym o tej porze zespole. Może i nawet wchodził tu w grę jakiś swoisty dreszczyk emocji, perwersji — przynajmniej ze strony Ewy Hanke? Gdy już się znaleźli w zespole. Chmielewski upewnił się najpierw, czy Ewa ma ze sobą miniaturę. Kiedy się przekonał, że jego rachuby nie zawiodły, zrealizował swój plan do końca.

— Ewa mu nie powiedziała, że to nie oryginał, a kopia miniatury?

— Nie, a sam się na tym nie znał. Zresztą kopia była wykonana znakomicie. Różnicę mógł dostrzec tylko znawca. Poza tym Chmielewski miał mało czasu. Wkrótce zaczęłoby się rozwidniać, a on musiał się jeszcze pozbyć zwłok. Po dokonaniu morderstwa zszedł do piwnicy, gdzie znalazł narzutę na łóżko. W nią owinał ciało. Tuż przed świtem przeniósł je do bagażnika swojego fiata. Chmielewski znał Puszcę Kampinoską i wiedział o zamulonym jeziorku na jej skraju. Wydawało mu się, iż jeśli tylko odpowiednio obciąży zwłoki, utoną one w grubej warstwie mułu i nigdy już nikt ich nie odnajdzie. I to już właściwie wszystko.

Wstał, szykując się do odejścia.

— Zaraz, zaraz — zatrzymałam go — ale dlaczego Łukasz ukrył miniaturę, a raczej kopię miniatury — poprawiłam się — na pawlaczu w zespole? Pawlacz nie okazał się przecież rewelacyjną skrytką.

— Myślę, że bał się zabierać, przynajmniej na razie, ów przedmiot ze sobą. W końcu był ostatnim człowiekiem, który widział Ewę Hanke jeszcze żywą i musiał się liczyć nawet z możliwością rewizji u siebie w domu. Skrytka w zespole wydawała mu się bezpieczna. No i mógł z niej łatwo skorzystać, zabierając miniaturę tuż przed wyjazdem za granicę. Tak zresztą postąpił — i na to liczyłem, umieszczając ponownie kopię miniatury na pawlaczu.

— Pułapka? — zapytałam.

— Można to i tak nazwać. liczyłem, że ktoś się w końcu po nią zgłosi, a tym kimś będzie mógł być tylko morderca.

— Ale dlaczego w decydującym momencie stracił głowę? Po cóż właściwie była mu ta cała historia z Lidią Fabisiak?

— Prawdopodobnie nie wytrzymał nerwowo. Za dwie godziny miał samolot. Czas naglił, a tu wynikła niespodziewana przeszkoda.

— Jeszcze jedno: niechże mi pan wreszcie zdradzi, jak pan doszedł do tego, że to właśnie Łukasz zabił Ewę?

— Najwięcej skorzystałem, jak już mówiłem, z prowadzonych przez panią zapisków. Założyłem, że między pobytem Ewy w pobliżu nielegalnego kasyna gry, a jej zamordowaniem może istnieć jakiś związek — choć oczywiście nic uświadamiałem sobie wówczas, jaki. Myślałem raczej o ewentualnym zagrożeniu, jakie Ewa mogłaby stanowić bądź dla właściciela kasyna, bądź dla jego graczy. W pewnym sensie nic pomyliłem się. Taki związek rzeczywiście był. W przekonaniu o jego istnieniu utwierdza! mnie również fakt, że gruz i cegły, którymi morderca obciążył torebkę Ewy, pochodziły z rumowiska tuż obok kasyna.

A później pani znalazła w zespole miniaturę. Natomiast od Filipa Hanke dowiedziałem się, że mamy do czynienia z kopia. To już właściwie eliminowało Filipa z kręgu podejrzanych. Odkrycie w zespole skrawka materiału, który był identyczny. ze strzępkim, znalezionym w pobliżu miejsca utopienia ciała Ewy Hanke, a następnie odkrycie narzuty, upewniły mnie w przekonaniu, że Ewę zabito właśnie w zespole. Musiały więc istnieć jakieś nici. łączące ten lokal z nielegalnym kasynem gry. Postanowiłem przeprowadzić eksperyment. Wśród osób, które były w jakiś sposób związane z zespołem, pewien lekarz rozpoznał mężczyznę, widywanego często w kasynie. Tym mężczyzną okazał się Łukasz Chmielewski.

Zebrałem i inne dowody. Na drodze biegnącej wzdłuż jeziora udało się zabezpieczyć kilka śladów opon. Wzięliśmy następnie dla porównania odciski opon ze wszystkich samochodów, należących do osób bądź to związanych z zespołem, bądź przewijających się przez jego pomieszczenia. Z pani wozu również — dodał — ażeby nie było żadnych wątpliwości. Jeden ze śladów został zidentyfikowany jako odcisk, pozostawiony przez oponę samochodu Chmielewskiego. No i jeszcze pułapka, o której mówiłem...

— Tak pan lubi efektowne zakończenia? — zapytałam.

— Droga pani Aldono — odparł, nazywając mnie po raz pierwszy po imieniu — a czy czytelnikowi powieści kryminalnej nie należy się od czasu do czasu te trochę sensacji?